Nr. 26 (1226). Warszawa, 12 (25) Czerwca 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentom kwartalnym i półrocznym przypominamy termin przedpłaty.

POLITYKA.

Nowa serdeczność.

Ks. Ferdynand przed opuszczeniem swoich dóbr w Ebenthal na Węgrzech zapragnął jeszcze raz, choć w przejeździe zobaczyć się z dobrym i miłym swym sąsiadem, królem Piotrem. Widzieli się już w maju, w Niszu i zobaczyli się teraz znowu d. 18 b. m. na stacyi kolejowej przed Białogrodem; na sam dworzec bowiem stolicy serbskiej ks. Ferdynand, tłomacząc się jakąś niepojętą idiosynkrazyą, zapuszczać się nie chciał. Miły od niedawna sąsiad, choć król i choć Serbowie sarkali o to na niego, nie zawahał się jednak do niższego od siebie rangą księcia podjechać. Pociąg zatrzymał się na półgodziny na stacyi Resnik. Tam obaj panujący zamknęli się w wagonie i w cztery oczy rozmawiali. Przed samem dopiero wyruszeniem pociągu wezwali do siebie Pasicza i generała adjutanta Markowa, i powiedzieli im coś, o czem obaj milczą uporczywie, tak, że żaden z dzienników białogrodzkich nic o tych tajemnych naradach powiedzieć nie umie. Sama już gorączkowa zapowiedź odwiedzin, przysłana z Ebenthalu, nie mogła nie zaciekawić nawet zadziwić: tem dotkliwsze przeto musi być milczenie. Można się nawet domyślać, że do zaproszenia się na narady podnieciła ks. Ferdynanda odmowa, jakiej doznał od ces. Franciszka Józefa, który wręcz przyjęcia w Burgu mu odmówił.

Zawarta w maju umowa ma niewątpliwie artykuły tajemne, które zawczasu dziś obmyślono na jutro, a jakiekolwiek i czyjekolwiek sprężyny dyplomatyczne z po za półwyspu Bałkańskiego mogły być przy zawieraniu jej czynne, pomyśleć nawet nie można, aby z samego półwyspu nie wpłynął do niej prócz obu stawających także i trzeci równie interesowany, ks. Czarnogórski. I to również wątpliwości nie ulega, że o cokolwiek się umówiono, kierunek woli umownej idzie wprost przeciw Austryi — z powodu Bośni, którą Bałkańczycy uważać muszą za swoją i której podział lub przynależność w całości wciągają do swych planów na przyszłość. Austrya nietylko dlatego ustąpić z Bośni powinna, że wdziera się w geograficzną figurę półwyspu przeznaczonego dla Słowian Bałkańskich, ale i dlatego, że trzyma w swej mocy ziemie, które na chwilę ogólnego powstania przeciw Turcyi mają wskazane dla siebie przeznaczenie. Żadne, najświetniejsze nawet rządy Kallaya, żadne dobrodziejstwa cywilizacyjne w Bośni — nic nie zdoła utrwalić tytułów prawnych, nadanych Austro-Węgrom w Berlinie. Nawet wielkie natężenie żywiołów tureckich i mahometańskich, nie osłabi bynajmniej dogmatu, że Austrya trzyma Bośnię tylko swą przemocą, a Bałkańczycy zabiorą ją kiedyś dobrem swem prawem.

Co nie było możliwem za tyranii i lekkomyślności człowieka szalonego, zmiecionego ze świata w nocy z 11 na 12 czerwca r. z., to staje się nakazanem nowej dynastyi, potrzebującej utrwalenia się przez czyn i zasługę. Serbia dzisiejsza, po usunięciu sporów o prawa narodowe na terytoryach z ludnością mieszaną bulgarsko-serbską — te zaś spory musiano już w Niszu uśmierzyć i ująć w układ pojednawczy — może najzupełniej współdziałać z Bulgaryą przeciwko Turcyi i Austryi. Zmieniła się w Serbii nietylko dynastya, ale zmieniło się też i stanowisko stronnictw, wpływających na politykę. Jeden z serbskich mężów stanu po świeżem spotkaniu się obu panujących, stwierdziwszy nienawiść króla Milana do Bulgaryi, skutek przegranej wojny 1885 roku, przypomniał jak dalece i wytrwale radykalni byli zwolennikami przymierza, a przynajmniej współdziałania jedno-celowego z Bulgaryą. Król Piotr chce wygnać z polityki serbskiej, zagranicznej do szczętu wszystkie obłędy i szały Milana. Ułatwienia na pograniczach, swoboda ruchów, na prawie wzajemności oparta, udogodnienia ekonomiczne, pocztowe i telegraficzne — mają na początek utorować, drogę istotniejszemu zbliżeniu się już nietylko dwu społeczeństw, ale dwu państw.

Niedawne jeszcze są czasy, gdy król Aleksander pomimo umyślnej wycieczki do Sofii, ostatecznie zaczął się gorączkowo zwracać to ku Grecyi, to ku Rumunii, czując tylko potrzebę sprzymierzenca, a nie wiedząc kogo sobie wybrać, gdy ten, kto był przed innymi wskazany, nie mógł lub nie chciał wejść w ramy interesów serbskich, jak je wówczas w Białogrodzie pojmowano. Dziś zmieniły się czasy; dziś polityka rządu, jak polityka narodu, polityka samego ludu serbskiego, woła o związanie się z Bulgaryą i z Czarno-Górzem. Okrzyk, którym żegnano księcia w Resniku, był żywym dowodem takich dążeń, wszczepiających się już w lud serbski. To, co mąż stanu dodał o uspakajającem oddziaływaniu na Macedonię, w duchu jawnego porozumienia się austryacko-rosyjskiego — było tylko przezornem liczeniem

z zewnętrznymi warunkami. Leży piszczałka gotowa: dlaczegoby w nią nie zadąć, w niczem nie krzywdząc planów swoich na przyszłość. Gdyby Austrya szczerość tej melodyi oddziaływania w Macedonii, tj. przeciwko Macedończykom, a za porządkiem, za Turkami — uwierzyła, dałaby przykład niepamiętnej w dziejach dobroduszności. Ani w Macedonii, ani w Bośni, ani na żadnym punkcie półwyspu Bałkańskiego nie stanie się z dobrej woli ludów i rządów bałkańskich nic takiego, coby nie było wymierzone przeciwko Austryi. Kwestya Turków w Europie jest i kwestyą Austro-Węgrów w Bośni i Hercegowinie. I co więcej, była nią odrazu na kongresie Berlińskim, Bismarck obdarzając Austryą, jednocześnie ją krępował i na zależność od siebie skazywał.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wysłanie odsieczy z Liao-jangu do Portu Artura, mniej więcej trzy tygodnie temu podawane w wątpliwość, w tydzień potem potwierdzone przez wskazanie nazwiska dowódcy, barona Stackelberga — dziś już, po nowych doniesieniach z końca przeszłego tygodnia, stało się niewątpliwem: Odsiecz istotnie wyruszyła na półwysep Liaotuński, z zamiarem dotarcia na Kuantuński, ale zanim doszła do odgradzającej je linii Port-Adams (Pu-lan-tien)—Bi-tsi-uo, spotkała na swej drodze przeważające znowu siły japońskie. Na przestrzeni z krańcami Fu-czeu, Pulan-tien, Wafan-tien, od d. 12 b. m. toczyły się coraz gorętsze i coraz rozleglejsze walki. Pierwszy dzień zakończył się powstrzymaniem pochodu bar. Stackelberga na południe: drugiego dnia Japończycy ściągali swe siły, a Rosyanie sadowili się na pozycyach bojowych, na południe od stacyi Wafanku; na trzeci dzień przyszło do rozprawy zaciętej, w której pierwszy pułk wschodnio-syberyjski poniósł ciężkie straty. Stracił nawet swego pułkownika, sam generał Herngros wyszedł z boju ranny. Walka trwała przez cały dzień do nocy. Rosyanie, prawdopodobnie w sile 20 tysięcy, mieli przeciwko sobie dwie dywizye.

Na dzień następny, który miał rozstrzygnąć o losie wyprawy bar. Stackelberga, Japończycy ściągnęli trzecią dywizyę, a Rosyanie zupełnie odcięci od swoich, nie mieli skąd brać pomocy. Przytem niesłychana słabość artyleryi, która jakoby wynosić miała tylko 16 dział — w co prawie uwierzyć trudno— przypieczętowała jeszcze ten wyrok przeznaczenia, który odrazu zawisł był nad pomysłem niewykonalnym, dającym tylko Japończykom sposobność do nowego zwycięztwa. Ze sposobności tej skorzystali też oni w d. 15 b. m. w sposób tak stanowczy i w rozmiarach takich, jakich jeszcze nie przyniosła obecna wojna na lądzie. Dwudniowa bitwa pod Wafanku zakończyła się zupełnym a jak najspieszniejszym odwrotem bar. Stackelberga. Starał się on w dniu drugim walki naprawić błąd głównodowodzącego, który nie powinien go był wysyłać inaczej, jak z trzydziestu kilku tysiącami i stu przynajmniej działami; usiłował obejść prawe skrzydło nieprzyjaciela, ale tymczasem nieprzyjaciel obszedł jego własne pozycye od prawego końca i zmusił go, przy jednoczesnem nacieraniu od czoła i z prawego boku, do cofnięcia się. Straty dla Rosyan są bardzo dotkliwe: z 16 dział 13 dostało się Japończykom; wielka liczba rannych, kilkuset jeńców, chorągwie utracone.

„Trzy drogi“ odwrotu, o których wspomina raport do gen. Kuropatkina, nie były przedmiotem wolnego wyboru: narzuciła je konieczność, ułatwiając wydobycie się z niebezpieczeństwa na razie. Niebezpieczeństwo to wszakże nie utraciło swej grozy i na pierwsze dni odwrotu. Jeżeli nawet gen. Kuroki od Suijanu nie mógł niczego rzucić na cofający się oddział, wystarczały dywizye gen. Oku z pod Wafanku do stoczenia nowego boju, w warunkach o wiele niekorzystniejszych, niż w d. 14 i 15 b. m. Prawdopodobnie w sobotę przeszłego tygodnia musiało przyjść do nowej rozprawy orężnej. Przewidywanie pomyślnego wyniku nie leży w granicach rozsądku. Nowe ruszenie się z Liao-jangu — dla wybawienia tego samego wojska, które miało wybawić Port Artura — daje się pomyśleć tylko, jako wyprawa gen. Kuropatkina wszystkiemi siłami na południe i południo-wschód, a z nią i jednoczesna też wyprawa gen. Kurokiego dla zwarcia się już całą masą w otwartym boju. Ale czy gen. Kuropatkin mógłby na taką wielką, ogromną już bitwę odważyć się bez ujmy dla strategicznego swego rozumu?

Admirał Skrydłow dokonał czynu śmiałego. Z trzema wielkimi okrętami „Ruryk,“ „Rosya“ i „Gromobój“ wypłynął z Władywostoku na zachód, d. 15 b. m., zaskoczył dwa statki przewozowe, japońskie, jeden zatopił, drugi zapędził na skały, czy też mieliznę, ciężko go uszkodziwszy, załogi i wojsko przewożone bądź powystrzelał, bądź wpędziwszy w łodzie na zatopienie w znacznej części skazał, a przytem wszystkiem uniknął spotkania z poblizkim Kamimurą. Dnia 18 b. m. był już z powrotem w porcie. Doniesienia o bombardowaniu pobrzeży japońskich są niepewne, a wpłynięcie pomiędzy Nipon i Jesso — wręcz niemożliwe. Japończycy, oprócz powyższych, stracili jeszcze jeden statek, który poszedł na dno wskutek spotkania się z okrętem wojennym.



Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

X. Ccho-sej. Tygrysy. Zwierzyna i myśliwstwo korejskie.

Różowy świt pogodnego dnia oblał ślicznem swem światłem płowe góry i żółtą, trawiastą dolinę, wśród której stała nasza wioszczyna. Poranek był zimny, ale cichy, zgodnie z przydomkiem „Kraju Cichego Poranku.“ Przyciśnięte stężałem powietrzem dymy tłukły się nizko po ulicach osady, znowu podobnej, z racyi gotującego się śniadania, do ogromnej węglarni. Gruby lód namarzł podczas nocy na kałużach i w rowach przydrożnych. Mokry od niedawnych deszczów gościniec stężał na stal i dzwonił pod kopytami naszych koni. Długo szedłem piechotą, aby się rozgrzać, gdyż ani ciało moje, ani ubiór nie były przygotowane do tak nagłego i nizkiego spadku temperatury. Byliśmy pewnie na wysokości jakich 3—4 tysięcy stóp. Z obu stron drogi stały bez ruchu żółte, wysokie i twarde, jak trzciny, osoki z białemi kitami. Przewyższały one nawet mego ton-sę, rosłego mężczyznę. Dopiero gdym wsiadł na konia, otworzył się przede mną rozległy widnokrąg.

Jan Andruszewski.

GAŁGANICA.

Sądny dzień dziś w karczmie.

Stary Josel, siwy Żyd, o twarzy patryarchy, nabiegłej purpurą, z długą po pas, siwą brodą, chodzi wzburzony po izbie, trzęsie głową, wymachuje rękami.

— Ty! — mówi podniesionym głosem do wyrostka, stojącego przed oknem i patrzącego obojętnym wzrokiem w podwórze. — Ty, mój syn? Taki syn? Mój ojciec nieboszczyk byłby mnie zaraz zabił, gdybym mu przyniósł taką hańbę na jego siwy włos, na jego dom. Przez ciebie nawet sługi utrzymać nie można. Co ja teraz zrobię? Teraz się każda będzie bała... Jak na złość przed samemi świętami. Ja stary, a takiej hańby nigdym nie zrobił.

Lejbuś stał ciągle, zapatrzony w kury na dziedzińcu, zdawał się śledzić obojętnym na wszystko inne wzrokiem, jak duży kogut silnemi nogami rozgrzebywał kupkę śmieci, wreszcie zniecierpliwiony począł kręcić pejsy.

— Przez jedną goimkę nie warto tyle mówić! — zapiszczał podrażnionym głosem. . . . . . .

— Co tobie do tego? Niech ona sobie będzie goimka, a ty nie potrzebował tego robić w mój dom! — trząsł się stary.

Przez brudne szybki karczemnego okna sypią mu się pod nogi promienie wiosennego słońca. Stopy Żyda depcą po nich z wściekłością, lecz one kwitną ciągle złotem i nieśmiałym jeszcze blaskiem.

. . . .

Tymczasem w kuchni Jewka blada, anemiczna, wiejska dziewczyna, odziana w białą płótniankę, skulona w kącie pod stołem, wiąże w zapaskę trochę odzieży i szmat.

Głowę i większą część twarzy owinęła żółtą chustką z czerwonym rąbkiem. Tylko oczy czarne, podpuchłe od płaczu, świecące łzami, błyszczą lękiem i wstydem z pod chustki.

— No prędzej, ty, drabie! — krzyczy na nią stara, pomarszczona Żydówka — ty jeszcze tu?

Nogą, obutą w pantofel, kopnęła tłomoczek dziewczyny.

— Należy mi się jeszcze dwa reńskie! — dobywa się Jewce ze ściśniętej krtani.

— Dwa reńskie? ja ci dam dwa reńskie ty szmato jedna — ty gałganico! Z czem ty przyszła? To wszystko moje. Ty mi pewnie pokradła bieliznę...

Drzwi uchylone rozwarły się gwałtownie, przewracając koszyk z łupami ziemniaków.

Wypadł z sieni kłąb chałatów i spódnic żydowskich, rozleciały się po kuchni nogi w brudnych, białych pończochach i pantoflach. Czarne i ryże głowy błyskały złośliwym ogniem oczu, z rękawów wyciągały się ramiona w stronę dziewczyny.

Niezrozumiały dla niej szwargot, zgiełk napełnił izbę.

Żydzi popychają się, tłoczą, otaczają ją coraz zwartszem kołem.

Gniewne ich głosy idą do niej czemś wrogiem, groźnem; wyciągnięte ręce szarpią jej odzież; to znów wracają w brudne, zatłuszczone rękawy.

— Di ganef! — wrzeszczy rudy Srul, starszy brat Lejbusia, blady chasyd o ostrych, wyposzczonych rysach ascety, o plecach zgiętych w kabłąk od ślęczenia nad biblią — di ganef!.. — i splunął w stronę Jewki.

Za splunięciem posypały się kułaki.

Ona tuli do piersi zawiniątko, jakby się niem bronić chciała od razów. Nie myśli już o dwóch reńskich, które się jej należą.

Od przełęczy, gdzie górskie łańcuchy splatały się w węzeł, szły na południe dwa długie odnóża kopulastych, pogarbionych, skalistych szczytów, odchylając się od siebie pod nieznacznym kątem. Między niemi zaległa wązka dolina, mająca najwyżej jedną lub półtory mili szerokości. Ujście jej ginęło w dali, w błękitnej mgle, zatkanej zygzakami bladych wiszarów i siwych obłoków. Łożysko doliny, od gór do gór, wyściełały wysokie, gęste, skędzierzawione, pożółkłe trawy. Nasza drożyna wiła się wśród nich białą, nikłą taśmą. Miejscami na uwałach płaskich pagórków czerniały samotne drzewa, zgarbione i sękate; pod drzewami bielały wielkie kupy ofiarnych kamieni. Gdyby nie dziwaczny kształt gór korejskich, miałbym wrażenie, że przebywam jedną z nielicznych stepowych dolin Mongolii. To samo pustkowie i ten sam pogwar, szeleszczących w wietrze, miliardów badyli, podobny do cichego szmeru morza.

— Ceno-sej! The grassy field! (trawiaste pole) — powtórzył ton-sa, widząc z jaką uwagą rozglądam się wkoło.

— Wcale nie widzę wiosek!

— Są... na dole, ale mało!

— Jak to: na dole?

— Tak, sir! Zaraz zobaczysz, koło rzeczułek...

— Dlaczegóż mało? Ziemia, zdaje się, urodzajna?..

Korejczyk potrząsł głową.

— Błoto, wiatr, zimno, śniegi i... tygrysy! — dodał ciszej. Tutaj czasem w lecie drogą przejść nie można, gdy *oni* gdzie się usadowią!.. Daleko trzeba okrążać górami. Ludzie z wiosek na własne pola boją się chodzić, i nikt tu nie zagląda...

Patrząc na ogromne przestrzenie szumiących oczeretów, pod którymi silny drapieżnik, po krętych drożynach mógł się z łatwością przeczołgać, ale których przebycie wydało mi się niepodobieństwem dla człowieka, zrozumiałem, iż jedynie pożar albo powódź mogły wypłoszyć stamtąd straszydła. Ustrzedz się ich bardzo trudno nawet doświadczonemu i dobrze uzbrojonemu podróżnikowi, gdyż barwa tygrysia łudząco naśladuje brudno-żółte tło starych trzcin, przeciętych czarnemi smugami cieni. Czai się on nadomiar niezmiernie przebiegle i lubi napadać znienacka.

Tygrysy żyją w całej Korei, ale za ich państwo i kolebkę należy uważać leśne puszcze północne. Tam one głównie plenią się i dorastają niebywałej wielkości i siły; stamtąd rozbiegają się szlakami górskich szczytów po całym półwyspie. A ponieważ w tym dziwnym kraju nadzwyczaj zaludnione, doskonale uprawne i kwitnące doliny sąsiadują z zupełnie dzikiemi, nieprzystępnemi, dziewiczemi wyniosłościami, więc potężni szkodnicy mają gdzie zakładać swoje ostoje. Często barłogi drapieżników znajdowano o parę godzin drogi od ludnej wsi lub miasta. J. B. Bishop opowiada o leopardzie zabitym w murach Seulu, oraz o chłopcu i dziecku porwanych przez tygrysa, w dzień jej przyjazdu, w mieście Genzanie [1]).

Tygrysy korejskie mają po 5 do 7 stóp długości bez ogona, nie ustępują wielkością bengalskim [2]), a przewyższają je dzikością i odwagą. Nocami wchodzą do wiosek, porywają bydło, psy, świnie, napadają na śpiących na przyzbach ludzi, jeśli ogień wygasł lub zapomniano rozpalić go w pobliżu.

M. Pogio wspomina o wypadkach, kiedy tygrysy wdzierały się do wnętrza zamkniętych chat, rozgrzebawszy słomiane ich strzechy [3]). Podróżnik P. Delotkiewicz spotykał wsi opustoszałe, gdzie połowę ludności wyżarły tygrysy [4]). Krajowcy boją się tygrysów (po korej. pomi, horan-i) niezmiernie, oddając im cześć jako wcieleniom okropnych potęg, wierzchowcom i sługom Władców Gór (San-silliong [5]), unikają mówienia o nich i nazywania.

Mój ma-phu, gdyśmy szli przez pustkowia, już na parę godzin przed zachodem słońca stanowczo sprzeciwiał się dalszej podróży, podając tysiączne wykrętne i błahe do tego powody, wyjąwszy *najgłówniejszego* (tygrysów); przez miejscowości zaludnione przeciwnie przeciągał drogę do późnej nocy. Potem dopiero dowiedziałem się o przyczynach tych niezrozumiałych dla mnie wybiegów.

Według Korejczyków tygrys szczędzi jedynie *pijanych*, którymi się brzydzi. Jest więc jedynym, jak się zdaje, antialkoholikiem w tym kraju. Dla walki ze szczególnie dokuczliwymi tygrysami rząd organizuje zbiorowe obławy, które zresztą nigdy się nie udają, bo są bardziej jeszcze nienawidzone przez mieszkańców, niż napady tygrysów, gdyż służą jedynie za źródło wyzysku i nadużyć miejscowym urzędnikom. Wolą Korejczycy sami urządzać potrzaski, kopać doły na tropach tygrysich, wreszcie w kilku z dzidami i krzemiennemi flintami wychodzić na ciężki bój. Istnieje w Korei całe, obszerne stowarzyszenie myśliwców tygrysich, coś w rodzaju kasty powszechnej i zjednoczonej w całym kraju, posiadającej własnych, obieralnych zwierzchników, kasę, własne bóstwa, gusła, zabobony i tajemnice. Do nich zwraca się ludność z prośbą o obronę od potworów, i oni są słusznie szanowani, jak sam święty Jerzy. Cieszą się nawet wpływem politycznym i w wojnach odgrywają rolę śmiałych i zapalczywych żołnierzy. Rząd wzywał ich nieraz w ciężkich chwilach i służyli mu wiernie, choć są przezeń uciskani na równi z resztą ludu. Francuzów podczas najazdu na półwysep w 1866 r. i Amerykanów w 1871 wprawiła w zdumienie zapamiętała waleczność tych, w skóry odzianych, obrońców ojczyzny.

Zima jest ulubioną przez Korejczyków porą do polowania na tygrysy. W tym celu grono myśliwców, uzbrojonych w dzidy i rusznice, puszcza się w pościg, upatrzywszy dzień, gdy na głębokich śniegach narosła na tyle już śreń, że utrzymać może myśliwca na łyżwach a zwierz jeszcze się załamuje. Wyśledziwszy tygrysa, gonią go po śnieżnym tropie, wywabiają na grząskie zadmy i, gdy uwięźnie zziajany, wściekły a bezsilny, kłują go oszczepem. Biada jednak, jeśli zwierz w pościgu trafi na miejsce płytsze lub twardsze i ze ściganego zmieni się w napastnika. Płaczą znowu wówczas we wsiach osierocone niewiasty korejskie. Niedarmo myśliwcy, idąc na tygrysa, jedzą kości, mięso i serce nieprzyjaciela, aby dorównać mu w odwadze!

Bardziej jednak nad polowanie doręczne rozpowszechnione są wśród Korejczyków rozmaite tygrysie pułapki, choć przebiegły zwierz niezawsze daje się w nie zwabić. Znane są powszechnie chińskie sidła w kształcie wąziutkiego korytarza kolistego, utworzonego z dwóch koncentrycznych ogrodzeń z wysokich pali. Do środkowego, całkiem zwartego, wsadzają psa albo prosię, które wyciem lub kwikiem

[1]) „Korea and Her Neighbours,“ str. 73.

[2]) Zdarzają się wśród nich osobniki, których skóra mierzy 3 metry 66 ctm. długości bez ogona (Pogio), a 3-metrowe skóry nie należą wcale do rzadkości.

[3]) M. Pogio: „Korea,“ tłom. niem., str. 174.

[4]) „Opisanie Korei,“ wydawnictwo ministeryum skarbu. Cz. II, str. 163.

[5]) W Indyach krajowcy z południowych podgórzy Himalajów również uważają tygrysa za wierzchowca Geniuszów Gór.

Uciec, uciec stąd, jak najprędzej... Ale i to trudno...

Czarna masa chałatów, błyski oczu, wykrzywione dziwną nienawiścią ręce, coraz bliżej, coraz ją silniej ściskają.

Znów drzwi się rozwarły, długa broda Josla zabielała nad ciemnym tłumem, jak płat śniegu na dachu karczmy, silne jego ręce rozepchnęły w dwie strony skłębione mrowie dokoła dziewczyny, porwały ją za plecy i tak przeprowadzoną, śmiertelnie wylękłą, wyrzuciły na błoto wiejskiego gościńca.

* * *

Przez podwórze, do stajni, ze skopcem w ręku, idzie matka Jewki.

Idzie, przystaje, rękę do oczu podnosi.

Wicher siwy włos jej rozwiewa z pożółkłych skroni dokoła śniadej, suchej, pooranej w zmarszczki twarzy.

Pracą sterana, życiem zbyt ciężkiem. Ot, jak zwykle wdowa, komornica u krewnych.

Córkę oddać musiała w służbę do Żydów.

Widują się rzadko, ledwie parę razy do roku.

Przy robocie niema na to czasu.

Niekiedy jeno, gdy ze zmęczenia wieczorem usnąć nie może, o Jewce wtedy myśli. I goryoz ją dławi. Przewraca się na tapczanie.

Żydowska sługa...

Dziś o niej w nocy myślała... I teraz, gdy się tak przez dziedziniec ze skopcem wlecze, ma ją na myśli.

Nad wsią zachodzi słońce.

Topazowe niebo a nad niem duża, ognista kula toczy się w jakąś głąb za czarny wał lasu.

Czerwone oczy komornicy patrzą w równinę, po której zielone pasma zbóż się ścielą.

Ku niej ścieżką, pomiędzy dwoma łanami żyta, idzie jakaś kobieta z tobołkiem na plecach.

Wdowę jakby coś tknęło.

Przysłoniła ręką oczy od blasku słonecznego — patrzy.

Poznała Jewkę.

— Ty tu?

Córka stoi przed nią. Z pod chusty płyną jej łzy — z twarzy ocieka pot.

Oczy podsiniałe, zmęczone, jak u brzemiennych.

— Wygnali — nie zapłacili — dwa reńskie mi winni... — bełkoce Jewka, twarz fartuchem ociera.

— Ta za co?

A Jewce broda się trzęsie, kąty ust drgają, łzy gradem płyną po długich, czarnych rzęsach, pierś się szlochem podnosi, opada i znów się wznosi; to jakby jej brakowało powietrza, chwyta je z wysiłkiem, zmieszane ze łzami.

— *Ty taka?!..* — spostrzega nagle stara.

Jakby w nią piorun trzasł. Upuściła skopiec z ręki — podnosi ją na córkę.

— Ruszaj! — chrypi zmienionym głosem — ruszaj! — rzęzi jej w piersi zdławionym świstem.— Ruszaj! Ty gałganico!..

. . . .

Stara odchodzi ku chacie. Córka patrzy w milczeniu, jak trzęsie siwą głową, jak wchodzi do chaty i drzwi za sobą ciężko zawiera.

Biała postać Jewki odcina się od czerwonego tła zachodzącego słońca, oblewającego ją, jakby potokiem krwi.

Gdzie iść?

Ona się tutaj ledwie dowlokła, sponiewierana, zbita, jak ranione zwierzę instynktem wlecze się do jamy, w której się urodziło.

A tu matka rodzona serce i wrota przed nią zaparła — to gdzież jej iść?.. Po raz pierwszy uświadomił się w jej myśli cały ogrom nieszczęścia, jakie ją spotkało, cała jego hańba, zamykająca jej może każde drzwi, do których zapuka.

Od ludzi chyba trzeba się chronić — ale jakże żyć?

zwabia tygrysa; zewnętrzne ogrodzenie ma wązkie drzwiczki, otwierające się do wnętrza.

Tygrys, wszedłszy do korytarzyka i szukając wyjącej ze strachu ofiary, krąży gorączkowo wokoło i, mijając drzwi, zamyka je sobą za każdym razem, nie mogąc dla ciasnoty obrócić się, aby wyskoczyć nazewnątrz, nie domyślając się spiąć na łapy i górą przekręcić. Nad ranem przybywają myśliwcy i zabijają go z łatwością oszczepem przez szparę w ogrodzeniu.

— Ale my polujemy na nie tylko pół roku, drugie pół roku one polują na nas! — powtarzają Korejczycy naiwnie o sobie i tygrysach lekceważące przysłowie chińskie *).

Sądzę jednak, że polowanie Korejczyków trwa o wiele krócej i że tygrysom, zarówno jak i innym dwu i czworonogim drapieżnikom, powodzi się w Korei wcale nieźle.

Bezpiecznie podróżować można wszędzie w tym kraju jedynie w miesiącach grudniu i styczniu, podczas rui tygrysicj, kiedy zapamiętałe samce upędzają się za samkami i biją wściekle między sobą, a rozromansowane samki nie myślą wcale o jadle. Zato zaraz potem; a szczególniej w kwietniu i maju, kiedy się kocą, zaczynają dokuczać ludności mocniej lub słabiej, zależnie od roku, stanu pogody i obfitości zwierzyny w okolicy. Gniazda zakładają zwykle w szczelinach skał i pieczarach na południowych stokach, w miejscach zacisznych, gdzie ciepło słoneczne ogrzewa nowo narodzone kocięta i nic ich nie płoszy.

Futro tygrysów korejskich i mandżurskich jest o wiele piękniejsze oraz gęstsze i trwalsze od bengalskich i wyżej się ceni. Jego pazury, zęby, kości i serce są poszukiwane przez chińskich i miejscowych znachorów i lekarzy, jako środki lecznicze i magiczne. Stąd polowanie na tygrysy daje znaczne zyski i prowadzone jest z coraz większą zaciekłością i powodzeniem, dzięki pojawiającej się w handlu udoskonalonej broni palnej. Dostarczają jej oraz naboi i żywności myśliwcom kupcy chińscy i japońscy w portach otwartych, odliczając sobie za to setne procenta. Sklepy w tych miastach istotnie pełne są skór tygrysich i można kupić bardzo dobrą za 25 dolarów (korejskich) i wcale niezłą za 15 dolarów.

*) J. B. Bishop, ibid., pag. 127.

Można tam dostać i innych skór: leopardzich, niedźwiedzich, rysich, lisich, wydrzych, sobolich, kunich, antylopich, jelenich, zajęczych... Można kupić pyszne „panty“ (młode, zasuszone poroża jelenie), kły dzika, skrzydła orle, żywych sokołów, przyuczonych do polowania na bażanty i przepiórki, wreszcie samej zwierzyny — kaczek, gęsi, bażantów, jarząbków, dzikich gołębi lub ich piskląt i wypiorów wszystkich gatunków, zależnie od pory roku.

Szczególnie obfity wybór futer i zdobyczy myśliwskiej widziałem w sklepach i na targu w Genzanie, co tłomaczy się bliskością tego portu od mateczników zwierzyny korejskiej — bezludnych i zalesionych wyniosłości pogranicza Mandżuryi.

Stamtąd ona grzbietami nieprzystępnych łańcuchów górskich rozchodzi się po całej Korei, tak że nawet na południowych jej kończynach można spotkać wśród opok i wąwozów nietylko tygrysa, leoparda i niedźwiedzia (komi), lecz i łagodne stworzenia — koziorożce, jelenie, piżmowce oraz inne pomniejsze, mocno prześladowane przez człowieka i swych drapieżnych współbraci.

Bez schronisk bezpiecznych i legowisk północnych dawno by one wyginęły; zaś ich przenikanie w samo serce uprawnych i gęsto zaludnionych okolic umożliwiają powyższe pasma dzikich, nieprzebytych skał, które niby żyły rozchodzą się po całym półwyspie. Tam z kolei sąsiedztwo człowieka, prowadzącego dla własnej obrony i zysku nieubłaganą walkę z tygrysem, zabezpiecza cokolwiek i zwierzęta od tego głównego ich wroga; zapewne też z tego powodu gromadki małych, południowo-korejskich małpek gnieżdżą się wyłącznie w pobliżu sadyb ludzkich. (C. d. n.)

W. Sieroszewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Wchodząc w życie...

I.

Wchodząc w życie, stajemy przed wrotami, wiodącemi do pałacu pełnego tajemnic. Z za wysokiego muru dolatują nas to pieśni wesołe, to treny żałobne, to hymny podniosłe, to wrzawa boju, to cisza grobowa... Nic nam tu nie jest znane, wszystko ukryte. Niejasne tylko przeczucia stanowią jedyną naszą oporę...

Wchodząc w życie, stajemy przed pełną grozy zasłoną, kryjącą wielkie misterya; porywa nas pragnienie odchylenia choć jej rąbka, lecz czujemy lęk, słabość i trwogę, że uczynić tego nie zdołamy...

Wchodząc w życie, stajemy na progu, za którym znajduje się owa zaczarowana kraina, wabiąca i przyzywająca ku sobie swym tajemniczym urokiem, owa kraina, którą musimy przejść całą—całą; na jej progu czas wędrówki przez nią wydaje się nam niezmiernie, nieskończenie długim, a potem...

Wchodząc w życie, jesteśmy jako wędrowce na małej łódce, przebywający bezbrzeżną powierzchnię oceanu; fale ryczą, uderzają o łódź, pienią się, szaleją, to odbiegają—cichną, to powracają—grożą, straszą; wokoło łoskot, szum, grom — i wielka moc nieznanej potęgi..

Wchodząc w życie, jesteśmy jako rodzące się światy, lub jako gasnące, blade, błędne ogniki. Na progu jego poczyna objawiać się nasza głębia wewnętrzna, lub nasza próżnia... Na progu jego zostajemy sam na sam z sobą — i od woli naszej zależy czy iść, czy pełzać, czy sięgać, czy żebrać, czy walczyć, czy bić pokłony, czy tęsknić, czy chrapać, czy dążyć, czy leżeć, czy wierzyć, czy trawić...

Czasu, kiedy wchodzimy w życie, ściśle, a nawet nieściśle, oznaczyć nie można. U nas późno dojrzewająca wiosna stała się okresem, kiedy część młodzieży wstępuje na próg istotnego życia. Kończący szkoły średnie, wychodzą z obrębu, do wszystkich jednakowo stosowanych, reguł i systematycznie nakreślonego trybu życia, pozyskują swobodę ruchów, swobodę rozporządzenia sobą. Kończący uniwersytet lub zakłady naukowe, specyalne rozpoczynają tak zwane „życie praktyczne“, opuszczają warunki istnienia czasowe, przygotowawcze i wchodzą w szary, na pierwszy rzut oka bezbarwny tłum. Inni, a tych jest znacznie więcej, nie wchodzą do chramu życia; wyrzuceni od maleńkości na ostry bruk jego podwórzy, od maleńkości prowadzą „praktyczny“ tryb życia. Taki jest schemat

Co człowiek, wchodzący w życie, przynosi z sobą, a co może przynieść? czego ma

---

Oparła się o płot, stoi koło niego — czepiła go się i myśli.

Brat został jeszcze. Ale żona jego wiedźma. Skąpa. Za dziewkę by się do nich nająć, a pieniędzy nie brać.

Tak, to może i wezmą, bo to oszczędność dla nich, a łyżkę strawy, co jej rzucą, odrobi im w czwórnasób. Wiedzą o tem, i często bratowa na jej robotę była łakoma.

Nie chcieli jej płacić, więc poszła na służbę, żeby się czegoś dorobić.

I dorobiła się!.. Żal jej serce rozdziera.

Nagle wrota skrzypnęły. Porwała się od płota, odwróciła i powlokła się tą samą ścieżką, którą przyszła, pomiędzy zielonymi płatami zboża, ku czerwonemu niebu, zalewającemu świat za czarnym wałem lasu...

* * *

Parno, duszno w wiejskiej, drewnianej cerkiewce, choć przez drzwi jej rozwarte płynie rzeźwy powiew kwietniowy z cmentarza. Na posadzce z szerokich, sękatych desek sosnowych klęczy tłum ludzi odzianych w białe płótnianki, z pod nich czernieją kołnierze kożuchów, jakby jakieś ciemne, smutne obroże, w które Dola skuła szyje swych dzieci.

Cisza.

Smugi pyłu snują się po promieniach słońca, co się tu przedziera przez nagie jeszcze gałęzie lip.

Z ciemnego kąta cerkiewki, z pod pajęczyn konfesyonału płynie szept przyciszony.

Zgięta do ziemi, złamana zda się, nie wiedząc gdzie się podziać; chciałaby Jewka, żeby się ziemia pod nią rozstąpiła. Wzrok tłumu zdaje się palić ją jakiemś strasznem, bezlitosnem piętnem.

Zdaje się jej, że cała cerkiew wie już o tem.

Skryć się — skryć! Gdziekolwiek, byle się skryć przed oczami tych ludzi.

A oczy te stare i młode, jak kwiaty ugorne, zeszłoroczne, zwiędłe i nowe dopiero z ziemi wytrysłe, zapatrzone w słońce, spoglądają w carskie wrota, przez których złocone rzeźby widać główny ołtarz, osnuty dymami kadzideł, i w jarzące się na nim świece woskowe, i w wosk stopiony, co kapie z nich po ołowianych lichtarzach na obrus uszyty z chustek wiejskich kobiet. Patrzą w krwawe światło wiecznej lampy.

Jej płomień zdaje się gasnąć chwilami i znów się ożywia, i chwieje w lampie ze szkła czerwonego, w złotej smudze słonecznego blasku z za lip.

Jewka przepycha się przez ścisk, jak przez rózgi.

Wtem, jak kiedy wiatr rozwieje snopy, postawione przez żniwiarzy kłosami do słońca i kładzie je pokotem po ziemi, tak wzniosły się ręce ludzkiej ciżby, jakby rozwiane niewidzialną mocą, i biały wał pleców pokrył deski cerkwi.

— Aaa Hospody! — wydobyło się westchnienie z piersi tłumu, jękło orkanem, wiało jakby nadprzyrodzonem Objawieniem nad jego rozściełonem ciałem, kłębiło się w ciasnych ścianach świątyni, szło tajemniczą grozą przez drzwi rozwarte na cmentarz, na piaski szare, ciągnące się po za nim, i dalej gdzieś w świat.

— Aaa Hospody! — modlił się, kajał, drżał lękiem Pokuty biały tłum, leżący krzyżem w kurzach podłogi.

Jakieś ciche zadowolenie, uczucie ulgi ogarnęło Jewkę.

Oni tam zapatrzeni w carskie wrota, bijący pokłony, nie zważają w tej chwili na nią, nie widzą jej może.

I oni się boją... Każdy ma swój grzech... I oni także...

Uspokojona trochę, przed samą sobą ukryta w swej hańbie, leży krzyżem w białym tłumie, z twarzą wtuloną w błoto, opadłe z butów chłopa, klęczącego przed nią.

A zanim lawa ludzka powstała z klęczek, już jej w cerkwi nie było...

(D. n.).

wymagać od siebie, a czego inni mogą wymagać od niego? czego ma prawo on żądać od nich?...

Rozwój jednostki, jakkolwiek uzależniony zewnętrznymi warunkami, tworzącymi zarówno atmosferę, w której ona oddycha, jak i chaos,z którego wylania się jej jaźń, główne swe oparcie znajduje w własnej, indywidualnej treści ducha, w samodzielnej jego potędze. Treść ducha jednostki uzewnętrznia się rozmaicie — stosownie do okalającej atmosfery, lecz zawsze nie zatraca swego charakterystycznego jądra, które może być przytłoczone, skrzywione, wykarykaturzone, lecz nigdy się nie zmienia.

Co wstępujący w życie u nas napotyka na pierwszym kroku? Aby odpowiedzieć na to pytanie trzeba określić wogóle co znaczy—wstępujący w życie. Życie — cały ten niezmierzony ogrom drobnych i wielkich zdarzeń, cały ten to spokojny, to rwący potok wiecznej przemiany, wiecznej walki myśli i uczucia młodych z myślą i uczuciem zamierających, cały ten bez bezmiar, otacza nas od samego, tak zwanego „przyjścia“ na świat. Lecz do pewnego wieku zostajemy, jakby zamknięci w jakimś zakątku tego bezmiaru, żyjemy otoczeniem cieplarnianem, w odosobnieniu. Patrzymy na życie, a nie widzimy go, nie czujemy całej rozlewności i głębi, jaką ono później nas przejmie. Lata dojrzewania, zdobywania wiedzy, wchłaniania w siebie rezultatu pracy przeszłych lub przechodzących pokoleń, rozwijanie się pierwszych zasobów ducha pod kierownictwem innych jednostek, wewnętrzne kształtowanie się wobec pewnej słabości, niemęzkości sił absorduje młodą duszę. Pomimo czułej wrażliwości przechodzi ona koło ważnych tajemnic bytu, nie podejrzewając nawet ich istnienia. Później następuje owo wejście w życie. Jedni dojrzewają wcześniej, inni później, większość, nawet znaczna większość młodzieży naszej, kształcącej się w średnich i wyższych zakładach naukowych, nie przestępują progu życia nigdy. Pozostają oni obcy istotnej treści jego, zadowalają się pianą i tu nie są zbyt wybredni. Maszynowość codziennych wypadków wciąga ich w „łatwe życie“ bez oporu z ich strony, tworzą oni tłum lojalnych „porządnych“ obywateli kraju, członków klubów, komitetów balowo-dobroczynnych itd.

Niezawsze winni ich należy. Są pomiędzy nimi tacy, którzy czuli pewien cichy dźwięk w sobie, płynący z innego świata, lecz ten zamilkł prędko, pozostawiając próżnię i palący niepokój.

Nie wszystkich, którzy odrazu w prądzie życia opadli na mieliznę, winić można.... Większość ich marnieje dlatego, że są za słabi, aby wytrwać i że od urodzenia żyli powietrzem zatrutem, zgniłem.

Tu możemy powrócić do pierwszej kwestyi: co spotyka u nas, wstępujący w życie na progu jego chramu? — wielkie, ogólne znużenie. To tło mamy wspólne z zachodem, tylko że u nas złożyło się na nie wiele odrębnych czynników, inaczej się ono przejawia i inaczej działa. Tam różnicowanie się myśli i kiełkowanie przyszłości wyprzedziło o wiele nasz poziom kulturalny. U nas murszenie i schnięcie teraźniejszości odbywa się wolniej, szkodliwiej. Pomimo pewnych wyjątków całokształt światopoglądów jest niezwykle jednolitym i skuwającym wszystko. Wchodząca w życie jednostka, pragnąca światła wiedzy, niecierpliwie szukająca odpowiedzi na to, co ją dławi, dręczy, co niepokoi, spotyka na pierwszym kroku ziewające usta. To daleko więcej chłodzi, niż największe represye lub szyderstwa. Przeważnie obojętnieje ona na wszystko, co głębsze, co wychodzi po za ciasny krąg zysków osobistych; ogólna to cecha ludzi przeciętnych, lecz przeciętność ta nigdzie nie wywiera takiego wpływu na stan kultury, nie kładzie tak wyraźnego piętna na wszelką stronę życia, jak u nas. Nic więc dziwnego na pierwszy rzut oka, że niejeden młody, rwący się do życia, niemając własnej siły do torowania sobie drogi i nie znajdując zachęty, ani nastroju, sprzyjającego rozwojowi jego młodej duszy, kamienieje prędko i sam wkrótce poczyna tworzyć dowcipy na temat młodych zapaleńców, postrzelonych głów itd.

Atmosfera, którą wytwarzają u nas ludzie „czyniący historyę,“ ludzie niestety najbliżej często znajdujący się młodzieży, jak jej rodzice lub wychowawcy, zabójczo działa na młode umysły. Rozwielmożniony u nas klerykalizm i nacyonalizm, obok innych gnojących wpływów, czynią powietrze stęchłem i pełnem zaduchu. Trzeba istotnie silnych płuc, tęgiego mózgu i czującego serca, aby przebić się, tłukąc nieraz głową o ścianę, przez mur wstrzymujący i paczący ducha. Pierwsze wpływy mają niezwykłe znaczenie dla młodej duszy; zmanierowana płytkość straszne wywiera wrażenie; doznawszy utrudnienia przy pierwszem stąpnięciu na ścieżkę wiodącą w życie, traci ona odrazu grunt pod nogami i poczyna się chwiać — a to dla niej wielkie niebezpieczeństwo. Ubóstwo myśli, jałowość uczucia, wstręt do żywszej pracy mózgu, umiłowanie szablonu — te cechy naszego ogółu napotykają na progu, wchodzących w życie. Inne bardziej żywotne, wyższe przymioty są niewidzialne i, jako dorobek pojedyńczych raczej osobistości, czy grup, nie są tak uderzającymi, tak widocznymi.

Żadna jednak atmosfera, żaden mur nie może być wymówką dla tych, którzy wchodzą w życie. Mają oni największy skarb młodość, i są winni jeżeli go roztrwonią lub zanużą w kałuży czy bagnie, użyją za środek do wygodnego ułożenia się na wieczysta drzemkę.

br.

Kongres uniwersytetów ludowych

FRANCUSKICH.



Dnia 22-go i 23-go maja r. b. odbyły się w Paryżu niezwykle ciekawe obrady pierwszego kongresu uniwersytetów ludowych, francuskich. Wzięło w nim udział stu kilkudziesięciu delegatów, przybyłych w rozmaitych zakątków Francyi, aby się podzielić zdobytem w ciągu kilku lat pracy doświadczeniem, przedstawić trudności z jakiemi walczyć im przychodzi i wyjaśnić sobie wzajem, ku czemu zmierzać mają te instytucye. Zużyto dwa dni, nie na jałowe dyskusye lub rozpatrywanie platonicznych życzeń, jak to zwykle bywa na kongresach, lecz na wymianę poczynionych nader cennych spostrzeżeń. Znać było, iż nikomu nie chodziło o tryumf osobisty lub partyjny, bo ten był uniemożebniony z góry powziętem postanowieniem nie wydawania żadnych decyzyj, a to w celu zabezpieczenia autonomii każdego uniwersytetu. Uszanowanie tej autonomii było punktem zasadniczym całych obrad i uchroniło je od kłótni, któreby się niewątpliwie wywiązały, gdyby zebranie miało głosować nad jakimiś wnioskami, obowiązującymi dla wszystkich.

Przewodniczącym zjazdu został wybrany jednomyślnie Gabryel Seailles, profesor Sorbony, szczery demokrata, łączący w sobie obok głębokiej wiedzy i szerokich poglądów społecznych wielką tolerancyę i nadzwyczajną prostotę obejścia. Każde przemówienie jego tchnęło gorącą miłością ludu pracującego, choć nie ubiegał się o efekty frazeologiczne, ani też nie starał schlebiać uczestnikom kongresu.

„Praca nasza dla uniwersytetów ludowych, nie jest objawem dobroczynności, a wypływa jedynie ze zrozumienia obowiązków. Nie uznajemy ani panów, ani dobroczyńców, składamy wszyscy na wspólny użytek nasze wiadomości naukowe, nasze doświadczenie życiowe, naszą dobrą wolę. Nie przychodzimy narzucać dogmatów, bronić tradycyj, usprawiedliwiać hierarchii społecznej, grając rolę dobrych bogaczów. Zbliżamy się dla wymiany przekonań, dla wzajemnego poznania się, wyjaśnienia sobie wielu zagadnień, pozbycia się przesądów zakorzenionych. Nie powinniśmy być sekciarzami, wyłączać możemy tych tylko, którzy wyobrażają sobie, że prawdę posiedli i mają prawo ją narzucać. Ten szacunek dla przekonań nie jest wynikiem sceptycyzmu, lecz wiary w potęgę prawdy. Wierzymy, że istnieje prawda, niezakuta w dogmaty nienaruszalne, prawda żywa, idąca naprzód.“

Słowa te dostatecznie charakteryzują Seailles'a, obok niego postawić należy Anatola France i poetę M. Bouchor'a, którzy równie bezinteresownie, jedynie w imię ideałów humanitarnych potrafili zespolić się z klasą pracującą fizycznie i oddać na jej użytek swą wiedzę lub talent.

Ażeby należycie ocenić i zdać sobie sprawę z obrad tego kongresu trzeba wiedzieć w jakich warunkach powstały we Francyi uniwersytety ludowe i jakim celom miały odpowiadać.

Przedewszystkiem należy zaznaczyć, że nie wzorowały się one bynajmniej na uniwersytetach ludowych angielskich, niemieckich lub szwedzkich, lecz miały organizacyę całkiem odrębną, samorodną, dążyły wszędzie i zawsze do zachowania charakteru instytucyj społecznych, nie wyłącznie naukowych. Jeśli tamte powstały już dawno wskutek zrozumienia, że oświata nie powinna być monopolem i przywilejem pewnej części społeczeństwa, że z jej dobrodziejstw winni korzystać wszyscy, to francuskie uniwersytety ludowe zrodziły się w epoce dziejowej, gdy odczuwano nie brak oświaty, lecz dostatecznego uświadomienia społecznego, poczucia sprawiedliwości i solidarności klasowej, słowem, tych wszystkich zalet, których wymagamy od ludzi społecznie rozwiniętych. Było to w przededniu i w czasie sprawy Dreyfusa, pamiętnego, nietylko w dziejach Francyi, wielkiego napięcia energii, wielkiego ruchu ideowego, który zbudził wielu śpiących i obojętnych, oderwał uczonych od laboratoryów i pracowni, a we Francyi przyczynił się z jednej strony do znakomitego rozpowszechnienia ideałów humanitarnych, z drugiej do wzajemnego zbliżenia pracowników fizycznych i umysłowych. Sprawa szerzenia oświaty nie mogła wówczas odgrywać pierwszorzędnej roli, bo zadanie to spełniały doskonale nader liczne i potężne stowarzyszenia, jak: Ligue de l'enseignement, Société polytechnique, Société philomathique, Société philotechnique, Société d'enseignement moderne, Société pour l'instruction élémentaire, Union française de la jeunesse, Société d'enseignement par l'aspect itd., których działalność niezmiernie doniosła i pożyteczna wypełniłaby całe tomy, gdyby ją należycie chcieć przedstawić. Według ostatniego spisu ilość tych towarzystw wynosi 1,893, nie licząc związków o charakterze wyznaniowym, zajmujących się również krzewieniem oświaty.

Jako datę powstania U. L. we Francyi uważają powszechnie rok 1898, kiedy pojawiła się pierwsza odezwa, nakreślająca cel i zadania uniwersytetu ludowego, założonego w dzielnicy św. Antoniego p. n. „Coopération des Idées.“ W tej odezwie powiedziano, że powstaje instytucya, która dążyć będzie do zorganizowania metodycznego wychowania etyczno-społeczne-

go, głębszego obznajmienia klasy pracującej z jej zadaniem na polu działalności zawodowej, kooperatywnej i politycznej. Najęto małą salkę przy ul. Paul Bert i tam codziennie, przy świetle dwóch skromnych lamp naftowych, dokoła długiego stołu, pokrytego pismami, siedzieli obok siebie robotnicy i inteligenci, słuchając uczonego lub myśliciela, który przychodził bezinteresownie dzielić się z nimi zdobyczami swego umysłu. Był to istotnie uniwersytet ludowy, taki jakim go i dziś we Francyi pojmują, ale nie nosił jeszcze tej nazwy. Dopiero w pół roku potem w pisemku *Cooperation des Idees*, wydawanem przez ową grupkę ludzi, znajdujemy artykuł, w którym spotykamy się z tą nazwą, i już bardziej rozszerzone wymagania: „Uniwersytet ludowy powinien być klubem i szkołą, a więc obok sali wykładowej pożądanemi są biblioteka, czytelnia, laboratoryum, muzeum, sala gimnastyczna itp.“

W następnym roku „Coopération des Idées“ przenosi się do obszernego lokalu, a jednocześnie powstają w okręgu XV i XX, na przedmieściu Montreuil oraz w kilku miastach prowincyonalnych, jak Alais, Bar-le-Duc, Beauvais, Bourg, Chalons-sur-Marne, Clermont-Ferrand, Dijon, Montauban, Nancy, Nîmes, Rennes — uniwersytety ludowe, mające swoją własną autonomię, różniące się między sobą szczegółami organizacyi, lecz ożywione tym samym duchem dążeń nowoczesnych.

W r. 1900 wzrost uniwersytetów ludowych jest znaczny. Paryż posiada ich już 12 w rozmaitych dzielnicach, na przedmieściach istnieje 6, na prowincyi — 21.

W 1902 r. ilość ich zwiększa się jeszcze, Paryż liczy 24, przedmieścia 19, prowincya 75; w r. 1903 przybywa na prowincyi 20, tak iż obecnie ogólna ich liczba wynosi około 150.

Inicyatywę założenia U. L. dawała zwykle jakaś grupa robotników, jakaś sekcya Ligue des droits de l'homme, stowarzyszenia byłych uczniów t. zw. w skróceniu „Amicales, albo też giełdy pracy. Jeśli wśród mieszkańców danej miejscowości nie było zażartej walki religijnej lub politycznej, jeśli projektodawcy nie budzą podejrzenia, że czynią to z pobudek ambicyi, karyerowiczowstwa, to idea bywa przyjęta sympatycznie, zapisuje się odrazu 40 do 60 członków i instytucya żyć zaczyna. Jako lokal służy z początku sala szkolna, sala merostwa, giełda pracy, a niekiedy szopa lub piwnica.

Pierwszą czynność stanowi opracowanie ustawy i regulaminu, co do których każdy uniwersytet wytwarza wzór własny. W jednych więc zarząd składa się z pewnej części inteligentów, w innych z samych robotników, gdzieindziej decyduje o wszystkiem ogólne zebranie członków.

Środki finansowe francuskich uniwersytetów ludowych pochodzą ze składek członków, jako też z dochodu, jaki dają przedstawienia amatorskie, wieczorki muzykalne i zabawy familijne. Wszystko to jednak razem nie wystarcza na pokrycie wydatków, jeśli Uniwersytet pragnie mieć własny lokal, to też brak środków dotkliwie odczuwać się daje, tembardziej że o subwencye rządowe lub miejskie z zasady nie proszą, pragnąc zachować niezależność. Wyjątek w tym względzie stanowi zaledwie kilka U. L., jak w Lyonie, Montpellier, Bourges, gdzie rady miejskie, mając w swem łonie większość radykałów, pragnęły zamanifestować swą sympatyę dla instytucyj demokratycznych i same zgłosiły się z zapomogą. Ten rys charakterystyczny U. L. francuskich zasługuje na zaznaczenie, wiadomo bowiem, że U. L. szwajcarskie, zawdzięczają swe istnienie pomocy państwowej, pochodzącej z monopolu wódczanego, a wiedeński uniwersytet ludowy utrzymywany jest również przeważnie z zasiłków państwowych. Ażeby zabezpieczyć się od wpływu mecenasów pieniężnych, U. L. francuskie przyjmują dary tylko „bezimienne“; ofiarodawca jest nieznany ogółowi członków i tym sposobem nie może rościć pretensyi do jakiejkolwiek z tego tytułu roli.

Co do wykładów, to organizacya ich nie była też naśladownictwem uniwersytetów ludowych, zagranicznych. Nie ubiegały się one o stworzenie programów i kursów systematycznych, bo zadanie to spełniały wspomniane wyżej stowarzyszenia oświaty ludowej, lecz wzięły sobie za cel pobudzanie do myślenia, wyrabianie sądu krytycznego. Ponieważ nauczający nie mogą być zawsze ci sami a słuchacze, wyczerpani pracą fizyczną, nie uczęszczają regularnie, przyjęto za formę normalną wykład oderwany, traktujący o jednej kwestyi i stanowiący całość. Jeden z pierwszych założycieli U. L. Deherme był mocno przeciwny ustanowieniu planu wykładów i kursów systematycznych: „Nie możemy do robotników stosować pedantycznych metod szkolnych, bo nie o to chodzi, aby posiedli pewien zasób wiadomości, lecz by się nauczyli zastanawiać nad wszystkiem. Im więcej się porusza tematów, tem więcej jest widoków obudzenia ciekawości, wykrzesania iskry zapału.“

Niezależnie jednak od tych zapatrywań, niektóre uniwersytety (jak np. w XIII okręgu paryskim) urządziły kursy i ustanowiły kompetentnych kierowników dla każdego działu naukowego.

Doświadczenie jednak trzyletnie wykazało, iż najdoskonalsze plany nie odpowiadają celowi: robotnicy nie mogąc uczęszczać regularnie, zniechęcali się długością przedmiotu i od wykładów takich stronili.

W niektórych uniwersytetach wprowadzono inny system: dla zapoznania z pewną kwestyą urządzono cykl z 3 lub 4 wykładów, powierzając je kilku prelegentom, ten system, pośredni pomiędzy kursem a wykładem oderwanym, dał się stosować tylko w Paryżu, gdzie nie brak wykładających.

Uznano powszechnie w U. L., że dyskusya ma większą wartość, niż wykład, a każdy prelegent, niechcący lub nieumiejący jej wzniecić, spełnia tylko połowę swego zadania. W istocie bowiem bierne słuchanie, choćby najlepszego wykładu, nie pozostawia w umyśle spracowanego fizycznie robotnika najmniejszego śladu, jeśli nie dano mu sposobności dokładniejszego zrozumienia przedmiotu i głębszego nad nim zastanowienia za pomocą dyskusyi. To też wszystkie ruchliwe uniwersytety wszelkiemi siłami starają się pobudzać do niej. W jednych tworzą grupy słuchaczów, pracujących razem nad wyjaśnieniem sobie pewnej kwestyi przez wspólne czytanie odpowiednich książek. Wszyscy oni zniewoleni są wówczas do wzięcia czynnego udziału w komunikowaniu spostrzeżeń lub wątpliwości, przedstawianiu argumentów za lub przeciw itp. W innych uniwersytetach przeprowadzono inne pomysły: wybierano z pomiędzy pytań, zapisanych w księdze przez członków, jedno, budzące większy interes i wyznaczano dzień na dyskusyę za miesiąc, tak iżby każdy mógł się z daną kwestyą zapoznać, np.: Jakie znaczenie społeczne ma solidarność? Jak się zapatrywać na zdobycze kolonialne? Co to jest ruch feministyczny? — itp.

Zbytecznem chyba dodawać, że klerykali zwalczają zawzięcie U. L. francuskie, jako dążące otwarcie do swobody myśli i obrony prawdy, krzewiące nienawiść do wojny i wszelkiego ucisku. Niektóre idą dalej i stają na stanowisku bardziej krańcowem:

„Czyż mamy się tym nastrojem przerażać? — mówił jeden z delegatów. Czyż mamy zapominać, że dążymy wszyscy do ideału szczęścia ogólno ludzkiego i ubolewać, że w masach jest tyle entuzyazmu i wiary w lepszą przyszłość? Czyż pod pretekstem zachowania wolności badania i rozwijania zmysłu krytycznego doradzać mamy naszym towarzyszom paralityczną neutralność? Czyż możebnem jest usunąć z naszych odczytów tematy polityczne i religijne, które zajmują wszystkie umysły? Czyż nie jest naszym celem dopomódz obywatelom do spełnienia swych obowiązków swobodnie i świadomie? a jakże potrafimy celu tego dopiąć, unikając badania kwestyj najbardziej palących?..“

Jednakże jeśli roztrząsanie różnych kwestyj, związanych z polityką uważanem jest za pożyteczne, to polityka wogóle, jako propaganda partyjna lub agitacya wyborcza, nigdzie dopuszczaną nie bywa. Ch. Guieysse, jeden z ludzi najbardziej oddanych uniwersytetom ludowym, mówił z początku, że skoro tylko jaki uniwersytet ludowy zacznie się zajmować polityką, podpisze tem samem wyrok śmierci na siebie. Ta zasada cieszyła się powszechnem uznaniem, niektóre jednak uniwersytety doszły do ostateczności w tym względzie, tak iż ten sam Guieysse w półtora roku później pisał: „Strzeżmy się wytwarzać ludzi obojętnych na sprawy publiczne, gdyż spaczylibyśmy całkiem cel i zadanie uniwersytetu ludowego.“ Robotnicy zaczęli też patrzeć z nieufnością na to stronienie od polityki, jako na manewr burżuazyi, pragnącej oddać uniwersytety ludowe w ręce usypiaczy (endormeurs), głoszących zgodę i miłość pomiędzy klasami społecznemi. Wprędce więc doszli oni do wniosku, że należy im zawładnąć uniwersytetami i zerwać z liberalnymi inteligentami. Z faktu tego Guieysse cieszy się i mówi: „Naturalnym rzeczy porządkiem uniwersytety ludowe stały się dziś instytucyami robotniczemi, a inteligencya zrozumiała, że musi wyrzec się roli kierowniczej, racyą bowiem bytu U. L. jest walka klas a nie zlanie klas (fusion des classes), jak to sobie początkowo wyobrażano.“

Gdzie zwyciężyła ta zasada, a inteligencya usunęła się lub zrzekła swych pretensyj do kierownictwa, tam nastąpiła ogólna zmiana ducha instytucyi, a co za tem idzie i charakteru nauczania. Zamiast nauk ogólnych, oderwanych, mających jedynie wyższą kulturę na celu, uniwersytety ludowe pod kierunkiem robotników zajęły się zaznajamianiem z kwestyami ściśle związanemi ze sprawą wyzwolenia klasy robotniczej, a więc z ekonomiczną, społeczną, historyą, hygieną domową i przemysłową, prawodawstwem fabrycznem itp.

Obok tego wszędzie przestrzeganą jest tolerancya przekonań, ludzie przyzwyczajają się do wysłuchiwania różnych zapatrywań i mają możność zbijania ich, ale w granicach dyskusyi przedmiotowej. Początkowo na odwrotnej stronie kart członków uniwersytetu „Coopération des Idées“ znajdowała się następująca uwaga:

„Nie należy w dyskusyi podejrzewać przeciwnika, że jest głupcem lub nieponiem. Mylić się można zawsze, każdy z nas widzi tylko część prawdy. Starać się zrozumieć przeciwnika. Szanować cudze przekonania.“

Obok tego uniwersytet ludowy, francuski pragnie być szkołą solidarności społecznej, stara się jak najściślej zespalać z interesami ekonomicznymi robotników, jednoczyć z ruchem kooperatywnym i syndykalnym, wchodzić w ściśle związki z giełdami pracy. Słowem, U. L. taki, jakim go pojmują we Francyi, nie jest bynajmniej zakładem naukowym, lecz dąży do tego, aby zostać domem ludowym w najszerszem tego słowa znaczeniu.

Iza Zielińska.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Nieporozumienie.

W pismach rozbrzmiewają obecnie echa wielkiego wyścigu samochodów. Francya śmieje się a Niemcy płaczą... W końcu sprawozdawcy dodają obowiązkowe: „niestety, nie obeszło się bez wypadków..." Paru baronów zabito, kilku połamało członki...

Z tego powodu przypomniałem sobie słynny wyścig paryski, w którym jedenastu ludzi straciło życie, wielu zostało okaleczonych, a reporterzy głosili z tajoną dumą, że w biegu przejeżdżano nietylko ludzi, lecz nawet... psy i ptaki. Byłem właśnie w Japonii, kiedy dzienniki wieść o tem przyniosły. Wyobrazić sobie nawet trudno, jakie to wrażenie wywarło na „lekceważących życie" Japończykach. Pisma krajowe przepełnione były artykułami, uwagami, karykaturami, objaśnieniami, wyrażającymi zgodnie zdziwienie, odrazę, pogardę dla „barbarzyńskiego obyczaju," dla niezrozumiałego „lekceważenia" własnego i cudzego życia.

— Niech mi pan powie, co to jest? Co to znaczy?.. Poco *oni* to robią? - pytał mię Kasawara-san, poważny i szlachetny profesor języka rosyjskiego w Hakodate, a zarazem tłomacz przysięgły tamtejszego konsulatu.

Inni, mniej obeznani z „Europą," wygłaszali z tego powodu najdziksze domysły. Z rozmów z łatwością poznałem, że Japończycy najmniejszego nie mają pojęcia o rozkoszy zgonu lub niebezpieczeństwa dla rozgłosu, czy blagi; nie przypuszczają również, aby *życie* mogło zostać stawką w jakiejkolwiek *grze*. Niezmiernie jaskrawo zarysowały się naówczas zupełnie odmienne poglądy na *śmierć*, poglądy odrębnych światów i ras... Wyznaję, że choć samochodem nie jeżdżę, czułem się zawstydzonym i upokorzonym.

Równie niezgłębione nieporozumienia wynikały w sprawie popularnych obecnie w Europie „konkursów piękności." W głowie porządnej Japonki wprost się nie mieści, aby uroda jej mogła stać się przedmiotem publicznej i jawnej oceny. Po takiej hańbie nie pozostałoby jej nic innego, jak przebić sobie gardło sztyletem. Mężczyźni z powodu tych konkursów uśmiechali się dwuznacznie, gdyż w Japonii podobne wystawy urządzane są jedynie w...Josziwara. Obyczaje Japończyków oraz ich poglądy na miłość nie są bynajmniej surowe, lecz są zupełnie od naszych odmienne i o wiele... poetyczniejsze, a piękność wszelkiego rodzaju uważana jest za łaskę i świętość, której nie wynosi się dla byle powodu na targowisko. „Bukiet za 300 rubli dla najpiękniejszej" jest niepodobieństwem w Japonii choćby dlatego, że wszelkie *wyróżnienie* jednej osoby na *zebraniach towarzyskich* uważane jest tam za rzecz wysoce niegrzeczną i nieprzyzwoitą.

Wacław Sieroszewski.

Gore!

Ileż to już czasu, z roku na rok, co lato, wciąż słyszymy powracający ten straszny okrzyk. Palą się wsi, miasteczka, miliony idą z dymem, tysiące pozostają bez dachu, bez mienia — i nikt nic nie czyni, aby tej klęsce ostatecznie koniec położyć. Powody są zawsze te same: na wsiach zbyt gęsto stawiane chaty, słomą kryte, w miasteczkach domki drewniane — wszędzie nieostrożność, niedbalstwo. Tu parobek albo nawet sam gospodarz zaprószył w słomę iskrę z papierosa, tam dzieci, zamknięte w domu, dorwały się do zapałek i przy zabawie wznieciły ogień. Gdy zaś trzeba ratować, pokazuje się, że niema ani narzędzi, ani ludzi zdolnych zorganizować natychmiastową obronę, a nawet często — wody. W ten sposób od jednej chaty w morzu płomieni staje wkrótce wieś cała, od jednej klitki drewnianej pożoga ogarnia połowę miasteczka. Wieść o nieszczęściu oblatuje kraj, prasa podnosi lament i — koniec. Na miejscu spalonych budują znów takie same klity drewniane, słomą kryte, na gumnie i w stodołach po staremu palą papierosy, dzieci zostawiają same w chacie, na narzędzia do gaszenia ognia pieniędzy dać nie chcą, a jeśli gdzie beczki stoją pod szopą, to napewno w razie wypadku okażą się nieprzydatne do użytku. Kto tych niedołęgów nauczy myśleć, zapobiegać własnemu i cudzemu nieszczęściu? Kiedy wreszcie z martwych, niemrawych stworzeń, przetrawionych lenistwem i głupotą przerodzimy się w istoty czynne, przezorne i czujne, nieszukające ratunku pod skrzydłami opatrzności, lecz w własnym rozumie i własnych siłach znajdujące najpewniejsze ubezpieczenie? *wc.*

Oceny.

Obowiązkiem jest prasy popierać każdą rzecz, przynoszącą pożytek społeczeństwu. Pełni ona jednak ten obowiązek nieco cudacznie. Zamiast dążyć do poznania pewnej sprawy, czy instytucyi i dać czytelnikom oparty na znajomości rzeczy obraz, zachwyca się ona, entuzyazmuje i wyrządza przez to wielką krzywdę. Weźmy za przykład rzecz następującą: w tych dniach odbył się popis pewnej szkoły śpiewu. Nie byłem tam, więc nie mogę sądzić o jej zaletach; wybór numerów popisowych i głosy krytyków pozwalają przypuszczać, że szkoła jest dobrze prowadzona. Lecz właśnie jeden z tych urzędowych sprawozdawców, otrzymujący zwykle patent na znawcę w redakcyi dziennika, który potrzebuje mieć swojego „krytyka." wpada w ton nadzwyczajnych zachwytów; można w tem znaleźć tak zwykłą u nas „dobrą wolę," usiłowanie dogodzenia wszystkim i głaskania miłości własnej. Po za tem jednak jest jeszcze druga strona medalu.

Wiadomo, do jakiego stopnia rozpanoszyła się u nas choroba teatromanii. Nadmierne uwielbienie zewnętrznej, maszynowej strony teatru, niewybredne zachwyty nad każdym wystawionym utworem, kult dla wykonawców a nie dla dzieł, zajmowanie się najdrobniejszym szczegółem z życia artystów czy pseudo-artystów — te oznaki poczynają zanikać; pozostały jednak inne— kult dla wykonawców, pomimo całej jego dwuznaczności, świetna karyera pociąga bardzo wielu. Sporo osób z poświęceniem godnem lepszego celu rzuca wszystko, czyniąc wszelkie wysiłki, aby dostać się na scenę i zbierać na niej tryumfy; mówi się dużo o ubóstwianiu sztuki, lecz uganianie się za engagement i śpiewaniem, czy graniem oklepanych utworów w istocie rzeczy niewiele ma wspólnego z istotnem ukochaniem sztuki. Dlatego poczynających powinno się chwalić niesłychanie ostrożnie i oględnie. Tymczasem czytamy: pani A. śpiewa zachwycająco, pani B. — znakomicie, głos pani C. silny i dźwięczny itd. Taka „ocena" może zrobić więcej krzywdy, niż korzyści, bo przecie każda z tak licznych aspirantek do sceny opiera swe pretensye do talentu wykonawczego przeważnie na zdaniu tego lub innego „kuryerka." Wiele ich utraciło zdrowie i wszelkie środki utrzymania w pogoni za tą marą sceny. Naturalnie, są to osoby płytkie, których wabi owa niezbyt subtelna i często ordynarna atmosfera kulisowa, lecz obowiązkiem dziennikarza jest dbać o najbardziej upośledzonych. Tymczasem dzieje się inaczej; po staremu chwalimy aż do obrzydzenia; mamy nawet cały słownik szablonowy w tym względzie. Jak te „oceny" działają, nikt nie dba. Na razie miło jest dogodzić sympatycznej osobie i zdobyć jej życzliwość. *r.*

Jeszcze o skwerach.

Jeden ze zbawiaczy społeczeństwa w artykule pisanym z powodu zagrodzenia wstępu na skwery, woła z emfazą: „dopuścić plebs do wnętrza skwerów, to znaczy przeznaczyć je na zagładę." Pomijam wielkopańską pozę potentata, pogardliwie traktującego motłoch i raczącego myśleć o jego dobru pomimo dzikości wszelkiego plebsu. Lecz czy tak zwana inteligencya z większym szacunkiem zachowuje się wobec dobra społecznego? Niezbędna jest tu kultura, któraby wykształciła ogół w kierunku poszanowania wspólnej własności, lecz właśnie dlatego trzeba, aby ci, którzy sprawą kierują, sami mieli poczucie tego, że ogród lub skwer jest własnością publiczną, a oni tylko funkcyonaryuszami ogółu. Tymczasem rzecz się ma inaczej: każdy dozorca uważa się za pewnego rodzaju rozkazodawcę, łaskawie dozwalającego wchodzić do ogrodu.

U nas ogrody, parki zamknięte są dla szerszej masy. To samo ma się ze skwerami. Nie są one wyłącznie na to przeznaczone, aby mile łechtać oko przechodzących, lecz aby zapewnić choć minimum powietrza tym, którzy go nigdy nie mają. Może trawnik, na którym się bawią dzieci (nie jest prawdą, aby w Paryżu wstęp im tam był wzbroniony), nie będzie miał tego piękna, lecz będzie bardziej odpowiadał swemu celowi. Lecz aby go utrzymać w porządku, należy podwoić zapobiegliwość i staranność, a nie pozbawiać ostatniego kawałka zieloności biedne dzieciaki wyrosłe w dymie i kurzu. *s.*

Rady milionera.

Od paru tygodni brzmią w Warszawie hymny pochwalne dla dzieł pewnego milionera amerykańsko-szkockiego. Czytałem jedną z tych książeczek. Zawiera ona w sobie szereg rad praktycznych do wybicia się na wierzch. Jest to gorsze wydanie „Samopomocy" Smiles'a. Ale wtedy, kiedy książeczka Smiles'a była u nas gorliwie czytaną i rozchwytywaną, w nauce i poglądach ówczesnych znajdował się grunt dla owych rad. Dziś odgrzebywanie starych prawd, choćby w postaci człowieka, który mądrzej, niż inni, używa swych milionów, jest wstecznem i jako takie przejść musi bez głębszego znaczenia. Zbyt dobrze znamy królujący kapitalizm, warunki jego rozwoju i powstawania, abyśmy mogli uwierzyć zapewnieniom, że tylko praca i wytrwałość prowadzą do zdobycia bogactw. Zbyt wiele widzimy objawów wyzysku ze strony owych bohaterów, „pracą i wytrwałością zdobywających miliony," abyśmy na rady poczciwe, płytkie i pozbawione wszelkiego pogłębienia inaczej odpowiedzieli, jak wzruszeniem ramionami. Nie wychodzą one po za normę niezbyt szerokich horyzontów — najdalszym punktem ich widzenia jest filantropia i czynienie dobrze. Ogółowi naszemu brak wytrwałości, pracowitości itd., to prawda, lecz złemu nie zaradzą owe ciasno-utylitarne kazania szkockiego Amerykanina, bo są one głosem człowieka zręcznego w interesach, poczuwającego się do pewnych obowiązków, lecz nieposiadającego ani światopoglądu indywidualnego, ani szerszego zrozumienia życia i jego potrzeb.

BADANIA NAUKOWE.

Gabryel Tarde.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

III.

Niedawno Mehring wydał w czterech wielkich tomach wyczerpane lub niewydane dotąd pisma młodzieńcze K. Marxa i Engelsa z pożytecznymi i ciekawymi (choć niezawsze) komentarzami *): warto tam się przypatrzyć, jak ci twórcy nowej teoryi skwapliwie chwytają sposobność wyzwolenia się od nosobień społecznych zarówno starego Hegla, jak młodych heglistów z lewicy Bauerowskiej, przyjmując z zapałem „humanizm" Feuerbacha, czyli sprowadzanie całego biegu dziejów do „człowieka żywego z całem bogactwem jego potrzeb i czynności." Aż Mehring uważa za potrzebne — naszem zdaniem, całkiem niepotrzebnie — zwrócić uwagę Engelsowi, że zanadto postponuje prawo historyczne, dla indywidualnego... Tarde byłby z pewnością zdumiony, ba! nie uwierzyłby, gdyby się o tem dowiedział. Nie wiedział; całą teoryę materyalizmu historycznego wziął nadzwyczaj powierzchownie tylko **) i poprostu nie mógłby zrozumieć, jakim sposobem ta teorya może mieć pretensyę do zadowalania praw jednostki tak w objaśnieniu, jak w urządzeniu życia społecznego. O prawa te nie przestawał walczyć z widmem „realizmu": dlatego tak często zdaje się, że to Donkiszot walczy z wiatrakami. Zresztą, walka przesunęła się na nieco inny grunt. Nowy „realizm" jest realizmem przedewszystkiem w tem znaczeniu, że krytykę, rozkład, przemianę teraźniejszości opiera nie na pojęciu rozumu przyrodzonego i niezmiennego, lecz na sprężynach realnych, działających w samej tej teraźniejszości; stąd naturalnie jego ścisły determinizm społeczny i podporządkowanie wszystkich zjawisk społecznych jednej ich dziedzinie (jak wiadomo, ekonomicznej), która w swym niepowstrzymanym rozwoju pociąga całe społeczeństwo za sobą. Lecz Tarde (jak wielu innych socyologów) tkwi ideowo w życiu klasy, która tego nowego rozwoju nie pragnie, przeciwnie, obawia go się; socyolog przeto usiłuje rozluźnić zależność wyższych zjawisk społecznych od podstawowych, osłabić determinizm społeczny, wyjąć z pod niego, co się da — usunąć właśnie jednostki wybitne, wynalazców, nowatorów. Ich czynności wynalazcze nie dadzą ująć się w żadne prawa, zależą od przypadku, a od nich znów zależą wszystkie fale naśladownictwa, czyli — cała treść życia społeczeństwa...

Gdybyśmy chcieli tu powtórzyć to, co już powiedzieliśmy dość obszernie w owym artykule „Pojęcie przeciwieństwa" o zamiłowaniu Tarde'a do harmonii, niechęci do negacyi i wszelkiej walki, to moglibyśmy powiedzieć: oto więc działanie czynnika klasowego, najważniejszego w rozwoju myśli naszego socyologa. Jeśli wreszcie chcemy zupełnie go zrozumieć, to uwzględnimy jeszcze czwarty czynnik, tkwiący w środowisku narodowem Francuza, a nawet poczęści cechujący, jeśli nie obecną, to niedawną chwilę w rozwoju wszechświatowym wiedzy i myśli, chwilę, pozostającą jeszcze pod urokiem Comte'a, wydającą Spencera... Mamy na myśli nieodpartą dążność do tworzenia systemów, wyczerpujących całą wiedzę współczesną, opartych na całokształcie nauk niższych, na biologii, fizyko-chemii: Tarde, jako Francuz, miał jeszcze specyalną predylekcyę do mechaniki, matematyki. Usiłował on też stworzyć taki system, jakkolwiek różne jego części budował dorywczo, nie w należytym porządku, jak dwaj wyżej wymienieni twórcy systemów, jakkolwiek nigdy nie mógł sobie dać rady z przeszkodami, które mu stawiała jego własna natura poetycka i marzycielska. „Powszechne powtarzanie" przedstawiało mu się w trzech formach: wibracyi w naturze nieorganicznej, dziedziczności — w biologii, naśladownictwa — w ludzkości. Nieustanne prądy, falowania, częściowo powrotne, przebiegają tedy wszystkie trzy wielkie dziedziny kosmosu we wszystkich kierunkach, spotykają się, zwalczają, godzą, znów dzielą i łączą, tworzą w każdym atomie i cząsteczce, w każdej komórce i organizmie, w każdym mózgu ludzkim najrozmaitsze kombinacye. Tarde bada właśnie prawa, rządzące rozpowszechnianiem się tych fal powtarzania w społeczeństwie oraz ich starciami, bada też kierunek ruchu ogólnego, który jest tych wszystkich zderzających się prądów rezultatem. Ale każdy taki prąd powtarzań ma jakiś punkt wyjścia, którego odkrycie jest w każdym wypadku najważniejszem zadaniem badacza: nowe pchnięcie ruchu w pewnym kierunku, nowy nabytek biologiczny (gatunek, rodzaj czy częściowa zmiana), w społeczeństwie — wynalazek lub odkrycie, dzieło pewnego, inicyatywą obdarzonego mózgu. Skąd się biorą te nowości, ta sól życia wszelkiego? Zapewne, bywają one wynikiem skrzyżowania się dwóch lub kilku poprzednich prądów powtarzania; ale co je właściwie sprawia, dlaczego w danej właśnie chwili wytryska iskra nowości, to w gruncie rzeczy tajemnice, które sprowadza się do pierwotnej różnolitości monad...

Na tym punkcie przeciwstawia się Tarde Spencerowi. Wogóle sądzę, że gdyby Tarde już za życia uchodzić był mógł za coś w rodzaju Anti-Spencera, to byłoby to mu sprawiało przyjemność. Wiele rzeczy raziło go nieprzyjemnie u tego systematyka teoryj wielkiego mieszczaństwa kapitalistycznego. Jak już widzieliśmy, jego indywidualizm znajdował sobie pewne oparcie tylko w różnolitości pierwotnej i dlatego nie chciał Tarde uznać wielkiego, współczesnego, przyrodniczo-filozoficznego uogólnienia Spencera, że bieg świata posuwa się od jednolitości ku różnolitości, od prostego do złożonego; jednolitość wogóle jest podług niego fikcyą, złudzeniem, a proste tylko dlatego prostem — że go nie znamy... Co dla nas ważniejsza, i w socyologii zajmuje Tarde stanowisko przeciwne Spencerowi. Spencer, jak wiadomo, jako spadkobierca ruchu przyrodniczego, tak właściwego wznoszącemu się mieszczaństwu, dał początek obu szkołom biologicznym w socyologii: organistycznej i darwinistycznej. Przytem, jeśli nawet on starał się o uwzględnienie specyalnie społecznego charakteru, odróżniającego i wznoszącego społeczeństwo po nad dziedzinę biologii, to jego epigonowie często prawie zupełnie tego zaniedbywali. Otóż Tarde, zwolennik harmonii, oczywiście, bezwzględnej walki o byt, jako czynnika doskonalenia się społeczeństwa, nie uznaje. Teorya organizmu społecznego jest mu poprostu wstrętną ze swem sprowadzaniem żywej jednostki do roli komórki *); pamiętam, jak podczas dyskusyi nad poglądami naszego Krusińskiego w towarzystwie socyologicznem, paryskiem, którego Tarde był wówczas prezesem, oburzał się on i zdumiewał, że ktoś, zajmujący względem społeczeństwa stanowisko krytyczne, że przeciwnik militaryzmu itp. może używać wyrażenia i pojęcia „duszy społecznej" która unicestwia indywiduum! A wreszcie Tarde kładzie zawsze jak największy nacisk na element czysto społeczny w społeczeństwie. Dopiero sam fakt zrzeszenia, uspołecznienia i wzajemne oddziaływanie, kształtuje właściwych ludzi, robi ich tem, czem są, czem się różnią od zwierząt. Tarde odrzuca ekonomiczne określenie społeczeństwa, jako skupienia opartego na wymianie usług, bo w takim razie najprawdziwsze społeczeństwo zachodziłoby między chłopem a jego bydłem domowem, i określa społeczeństwo, jako zgromadzenie ludzi, którzy się wzajemnie naśladują albo, jeśli w danym czasie nie naśladują się, to dzięki dawnemu naśladownictwu są do siebie podobni. Ba! nawet samą naturę włącza on niejako do społeczeństwa. Wszelkie zjawisko natury — mówi **) — człowiek widzi przez okulary, zabarwione najrozmaitszymi czynnikami społecznymi; wszelka potrzeba organiczna, nawet potrzeba jedzenia lub płodzenia, odczuwana jest pod charakterystyczną formą, uświęconą przez otoczenie społeczne, itd.

Socyolog nasz wpada nawet w przesadę, bo uduchowiwszy w ten sposób nawskróś stosunek społeczny, pogardliwie już traktuje nietylko warunki naturalne, ale i podkład ekonomiczny, który przecie jest już społecznym i psychicznym. Wogóle, znajdziemy u niego mnóstwo błędów, paradoksów, czasami — naiwności. Ale z drugiej strony to, co powiedzieliśmy kiedyś o szkole psychologicznej w socyologii, że jest ona cennem, acz chaotycznem laboratoryum bardzo godnych uwagi pomysłów, stosuje się w pierwszej linii do Tarde'a. Po dziełach jego rozsypane jest mnóstwo myśli zdrowych, świeżych, bystrych, czasami — genialnych. Samej teoryi naśladownictwa trzeba tylko dać podstawę ekonomiczną, ściągnąć ją z obłoków na ziemię, a straci ona swą tajemniczość i niezupełność i oddawać będzie usługi może nie mniejsze od „Hegla, postawionego na nogach"; dalej metoda „atomiczna" w socyologii, rozbijanie pozornych całości i jedności na procesy indywidualne; ilościowość wiary i pragnienia; „polaryzacya" społeczeństw podług przeważającej koteryi wierzeń i pragnień; „serya historyczna stanów logicznych"; interferencya dziedzin wyższych z niższemi, przeżywanie potrzeb wyższych, ich powstawanie z niższych itd. itd. — nie mamy miejsca na dalsze wyliczanie, ale twierdzimy, że i zwolennik materyalizmu ekonomicznego, do którego się Tarde mimowoli często zbliża, znajdzie u niego wiele myśli, godnych przetrawienia i zużytkowania. Sądzimy też, że żaden pracownik na polu socyologii nie może obejść się bez znajomości Tarde'a. Czytanie zaś jego dzieł polecamy — zapewne, nie wszystkim, nie początkującym, lecz tym, którzy pragną doskonałej i przyjemnej gimnastyki umysłowej i którzy zdolni są czytać krytycznie, odróżniać szczere złoto, którego tam niemało, od świecącego próchna.

Dr. K. Krauz.

*) „Aus dem literarischen Nachlass von etc." Stuttgart, 1902.

**) Jak dalece socyologowie mieszczańscy nie znają tego prądu i nie czują potrzeby go poznać, tego krzyczący wprost przykład dał niedawno koryfeusz ich we Francyi, A. Fouillee: w dyskusyi nad mater. ekonom. (Ann. de l'Inst. de Sociol., t. VIII) oświadcza on pogardliwie: „Marx sam obalił swą teoryę, ponieważ *w końcu* przyznał, że *teorya, gdy porwie masy, staje się siłą materyalną*." Otóż zdanie to znajduje się w „Przyczynku do krytyki filozofii prawa Hegla," napisanym przez Marxa w r. 1844, czyli „na początku." Fouillee przeoczył rzecz tę w tłomaczeniu franc., wydanem w r. 1895 — i nie wstydził się napisać czegoś podobnego.

*) Ob. jego b. ciekawą krytykę tej teoryi w t. IV „Annales de l'Inst. de Sociologie."

**) „Les lois de l'imitation," str. 49, 66—70, 136 itd.

LITERATURA I SZTUKA.

ODGŁOSY.

Leon Rygier: *Hańba dusz.* Powieść. Warszawa 1904, nakł. T. Paprockiego i S-ki. — Ire-Ad-Sol: *Głód życia.* Warszawa 1904.

Tytuł efektowny, mówiący wiele, z góry usposabiający czytelnika do oczekiwania czegoś, co przekracza miarę zwykłej przeciętności... Hańba dusz!.. A więc może paraliż wszelkich czynników etycznych i moralnych, nadmierne przeczulenie i komedyanctwo, zupełna atrofia woli, powolny rozkład umysłu, słowem, to próchno, które dzięki olbrzymiemu talentowi Berenta fosforycznym blaskiem zapłonęła w literaturze naszej?.. Hańba dusz!.. Co autor rozumie pod temi słowami i w czem widzi tę hańbę?.. Niestety, dusze pierwszo-planowych postaci w powieści p. Rygiera — to „dusze" bardzo przeciętne, powiedziałbym, pospolite, filisterskie „dusze na sprzedaż," które każdy może nabyć na nieustannej licytacyi życia, każdy... kto da więcej. Taką milutką „duszą" jest Solski, człowiek na miarę krawca, pozbawiony woli i hartu, przechodzący z obozu do obozu prawie niepostrzeżenie, sam nie wiedząc, jak i kiedy. Solski nie walczy i nie zmaga się ze sobą: walki wewnętrzne *robi* za niego autor, a trzeba dodać, robi nieosobliwie. Tym walkom brak konieczności, która człowiekowi każe łamać się, szukać nieustannie, porzucać jedne drogi i wybierać inne, iść świadomie, choćby w bezdroża, byle iść za tym głosem wewnętrznym, co woła w głębi duszy i kieruje wszystkimi krokami, byle za jakąbądź cenę uczynić zadość swym potrzebom i namiętnościom. Na postępowanie Solskiego wpływają czynniki, nic z metafizyką niemające wspólnego, a do ciągłych kompromisów popycha go bieda. Nie umie on walczyć ze sobą i nie umie walczyć ze światem. Autor nie wykrzesał z Solskiego, ani jednej iskierki, którаby rozświetliła zawrotną głąb duszy ludzkiej, nie ukazał nic, czegoby nie dostrzegło przeciętne oko w zetknięciu się z takim człowiekiem, jak Solski. Inne osoby, wprowadzone przez autora do powieści, — to najczęściej manekiny mniej lub więcej poprawne, nieraz żące wprawdzie fałszami psychologicznymi (jeżeli wogóle o psychologii manekinów może być mowa), ale traktowane powierzchownie i niezem na czas dłuższy nieutrwalające się w pamięci.

„Żal mi mojej powieści — pisze w epilogu p. Rygier. — Stałem prawdzie po za nią, więcej jako obserwator, niż twórca..." Otóż to!.. autor obserwował i, być może, obserwował sumiennie, lecz obserwacyi swoich nie przeżył i nie pogłębił, nie przetworzył we własnej duszy, lecz wszystkie zdarzenia, uczynki ludzkie, wreszcie samych ludzi, słowem, całą powieść *napisał*, ale jej *nie stworzył.*

Podkreślić jeszcze należy stanowisko autora wobec opisanych wypadków i ludzi, stanowisko wcale niedwuznaczne: p. Rygier jest szczery, współczuje z niedolą ludzką, gdy trzeba, nazywa rzeczy po imieniu, śmiało piętnuje kłamstwo i obłudę, a piętnując, umie być dosadnym. Ta szczerość nadaje pewien sympatyczny ton całej powieści i sprawia, że „Hańba dusz" budzi chwilami żywsze zainteresowanie. Niestety, wykonanie nie dorównało zamiarowi: to, co opisuje p. Rygier nie jest hańbą dusz, jest raczej spodleniem charakterów.

Zarzutu powierzchowności nie można zrobić p. Ire-Ad-Sol. „Głodem życia" nazwała autorka zbiór swoich utworów i, jak gdyby usprawiedliwiając ten tytuł, tuż na wstępie woła z uniesieniem: „Kocham cię, życie!" Ale nutę tę zaraz w pierszym utworze zagłusza silny, z głębi duszy wydarty okrzyk, który nie zdradza już głodu i ukochania życia, ale trwożne przeczucie i ogromny lęk przed zniszczeniem śmierci. Okrzyk ten przebija z wszystkich utworów i wszystkie łączy w jeden harmonijny akord, dźwięczący łzami niemocy. Akord ten drży czasami smutno i cicho, jakby lękliwie, to rozpływa się w rzewnych urywanych łkaniach, to wybucha rozgłośnym jękiem rozpaczy, to znowu przeradza się w bezsilny protest, w jakiś żal głuchy i przejmujący, w bunt straszny i beznadziejny, jak śmierć. I nigdzie nie dostrzega autorka jasnego uśmiechu, ani odurzającej, balsamicznej woni kwiatów, skąpanych w potokach światła słonecznego, nie widzi radosnych twarzy i nie słyszy wesołego gwaru życia. W kir żałobny spowiła swoje myśli i lękliwe, pytające spojrzenie zatopiła w mroki przyszłości. A w tym mroku czai się widmo śmierci, czyha na swoje ofiary, podpełza cicho i krąży wokoło nich, jest wszędzie i wszystko zatruwa swoim lodowatym oddechem. Jedna chwila — i kres oraz zagłada wszystkiemu, co żyje!.. I jakże się nie buntować, nie szemrać, jakże wobec tego w obłędnem przerażeniu nie zaciskać pięści i nie zionąć strasznem przekleństwem!... Smutek i beznadziejność, długie, długie dni niezaspokojonych pragnień i marzeń niezniszczonych, a potem żal i szamotanie się ze sobą, dalej okrutne, obłąkane spojrzenie w nicość i pustkę, wreszcie łza ostatnia, tęskna łza umierającego — oto jedyna odpowiedź, jedyny rezultat walk wszystkich i ciągłego buntu... I jakże nie rozpaczać?!...

Prawo natury w takiem oświetleniu staje się gwałtem i największą tragedyą, a sama myśl o niem nieustanną męką i torturą wszelkiego istnienia...

Głód życia!.. Zaiste temat pociągający; tkwi w nim tragedya, to prawda, ale nietylko tragedya!.. Ludzie, którzy głodni są życia nietylko drżą przed śmiercią, nietylko o niej i wyłącznie o niej myśleć potrafią, umieją jeszcze żyć, żyć wszystkiemi nerwami, każdą myślą i temu życiu całą swoją duszę poświęcić. I często idą w świat przebojem, z zaciśniętymi zębami, a choć z ukrycia godzi w nich sto grotów, choć na każdym kroku grozi im strzała zatruta, choć drogę swoją krwią serdeczną znaczą, mają wzrok hardy, nieustraszony i śmiało, po męzku patrzą śmierci w oczy, i pewnym, odważnym krokiem zbliżają się do niej. Ci także spragnieni są życia. Śmierć nie jest straszna dla mocnych.

Takich ludzi nie spotykamy w omawianym zbiorku. Utwory p. Ire-Ad-Sol przypominają więdnące kwiaty cmentarne. Nuta, która w nich dźwięczy, sprawia wrażenie jednych i tych samych jęków dzwonu pogrzebowego, a choć motywy różne — treść zawsze ta sama. Skala uczuć nie rozrasta się w miarę czytania. To też każdy utwór, przeczytany oddzielnie, zrobiłby zapewne większe wrażenie, wszystkie razem rażą ubóstwem pomysłu i monotonnością. W tym *Głodzie życia* stanowczo za mało jest życia, a za wiele śmierci!..

P. Ire-Ad-Sol umie czytać w duszy ludzkiej, zna jej tajniki, trwogi i niepokoje wobec widma śmierci i zapewne nie poprzestanie na odtwarzaniu tego samego stanu duszy...

Kwiaty piękna nietylko na cmentarzach kwitną...

Poczekajmy!..

Artur Śliwiński.

NOWE KSIĄŻKI.

— Edward Schure: **Ryszard Wagner.** Warszawa. 1904. Sennewald.

Książka ta nie należy do nowości; wyszła ona w oryginale w 1875 r. i wywołała wpływ dość poważny we Francyi w czasach, kiedy Wagner był tam nierozumiany i prawie nieznany. Uderza w niej szczery i pełen ognia kult autora dla twórców i chęć odgadnięcia tajemnicy tworzenia. Rzecz cała osnuta jest na podłożu podań-mitów, których Wagner użył jako zewnętrznej treści dla przejawienia swego geniuszu. Schure trzymał się porządku chronologicznego, patrząc na rozwój twórczości jego ze ścisłą bacznością, na wzajemny związek pojedynczych etapów. Myśl, głębsza treść, samodzielne ujęcie mitu — ta strona zajmuje autora przedewszystkiem; do tej nici przewodniej dodaje on i uwagi, tyczące się estetyki słowa lub dźwięku, czy też istoty reformy, jaką zaprowadził Wagner w dziedzinie muzyki, czy dramatu.

Po dziele młodości — „Rienzi," następuje „Okręt Widmo," utwór zawierający już zaczątki przyszłych przeistoczeń. Zcśrodkowanie akcyi, umiejętność „wprowadzenia w grę najpotężniejszych motywów, najskrytszych w istocie ludzkiej," ścisły związek dramatu z muzyką pomimo form dawniejszych. Za tem dziełem idzie „Tanhauser," walka dwu sił — Venus i Maryi. Za nim doskonalszy formą „Lohengrin," pieśń o ideale i słabości ludzkiej. Po nich następuje dzieło „głębokie niezgłębione nieokiełznaną i skupioną namiętnością," najwyższe napięcie dramatu duszy — „Trystan i Izolda." Pewną reakcyę ducha stanowi tu komedya muzyczna, „Śpiewacy z Norymbergi." Następnie utwór, „w którym wszystko jest niezwykłe — przedmiot, idea, forma," pomysł całego życia — „Pierścień Nibelungów," pieśń o „zwątpieniu, męce serdecznej i pragnieniu znalezienia w głębokich i natychmiastowych uczuciach prawd wieczystych, rządzących życiem." I — zakończenie „Parsival," łabędzi hymn wyzwolenia.

Zapał i miłość Schurego czyni książkę jego niepowszednią i wielce sympatyczną. Ujęcie przez niego twórczości Wagnera subjektywne, więc szczere i indywidualne. Dla naszego ogółu książka ta ma bardzo ważne znaczenie, bo może wpłynąć na rozbudzenie ukochania prawdziwej, głębokiej muzyki i pragnienia poznania twórczości muzyka, który na gruzach przeszłości zbudował przyszłość i dał twór, odpowiadający głodowi współczesności, twór należący do najwyższych przejawów kultury XIX wieku. U nas jest on prawie nieznany.

Dziełko Schurego, choć może zawiera niejedno twierdzenie, z którem możnaby się nie zgodzić, jako całość przedstawia odczucie poety-twórcy przez człowieka o szerokim horyzoncie i wrażliwości na piękno, dlatego zasługuje na przeczytanie. Radość mogą przynieść każdemu te stronice, przejęte czcią dla twórczości i potęgi ludzkiego ducha.

— Gustaf af Geijerstam: **Książka o małym braciszku.** Przekład Malwiny Posner-Garfeinowej. Nakład Księgarni Naukowej. Warszawa, 1904, str. 154.

Dużem uznaniem i poczytnością cieszy się w ojczyznie swojej, Szwecyi, Geijerstam. Jedyny utwór jego, przetłomaczony na język polski, daje nam poznać organizacyę wysoce artystyczną i subtelną. Tylko artysta prawdziwy może przy takiej prostocie środków, jakie widzimy w „Książce o małym braciszku," wywołać w czytelniku wzruszenie i nasunąć szereg myśli głębszych.

„Jest cała ta książka książką o śmierci—pisze na wstępie autor—a jednak więcej o szczęściu, niż o nieszczęściu mówi. Bo nie to jest nieszczęściem, że człowiek stracił drogą rzecz; nieszczęściem jest, gdy ją zbrudzi, zniszczy, zeszpeci." Jest to właściwie opowieść o walce z wiszącym nad głową ciosem okrutnym. Człowiek dobry i szlachetny walczył i padł: śmierć wydarła mu syna, a wkrótce potem żo-

nę, która przeżyć dziecka nie mogła. Bajka powieściowa niewyszukana, uboga nawet, lecz na całość składa się tak niezwykły a pociągający obraz stosunków rodzinnych młodego literata, taka harmonia przedziwna panuje między nim a żoną, daleką bardzo od przeciętnego szablonu współczesnych towarzyszek mężczyzny, w sposób tak prosty a wzruszający odtworzone mamy krótkie życie i śmierć „małego braciszka,“ że wszystko to, w połączeniu z pięknymi opisami natury północnej i morza, pozwala utwór Geijerstama zaliczyć do lepszych nabytków naszej literatury tłomaczonej.

M. B.

SPRAWY EKONOMICZNE

Ryszard Cobden.

(Kartka z dziejów liberalizmu).

Wśród silnie wezbranych fal namiętności politycznych, rozniecanych bezpośrednio agitacyą Chamberlaina za „większą Anglią“ (greater Britain), zespoloną unią celną z koloniami w potężną całość, musiało poruszyć żywo ogół wspomnienie, złączone z imieniem człowieka, który w podobnie przełomowej dla gospodarki angielskiej chwili swą niesłychaną energią przyśpieszył rozwiązanie sprawy.

Upadający liberalizm angielski, w stuletnią rocznicę przyjścia na świat Ryszarda Cobdena (3 b. m.) zapragnął przelotnie bodaj przyodziać się blaskiem minionej świetności z czasów swojego apostoła, odświeżyć w pamiątkowych mowach i obchodach urok a może i wpływ tych haseł, które mu w zwycięzkim boju towarzyszyły — ale zapożyczony strój godowy źle nakrywa zszarzałe w długim pochodzie, codzienne szaty.

Zmieniły się czasy — a słowa co niegdyś były nową prawdą, którą do życia budzące się warstwy chciwie chwytały, by wcielić w nie swoje pragnienia, rozbrzmiewają teraz bez echa i giną.

Sto lat temu szlachta posiadała jeszcze w Anglii przemożne przywileje. Uporawszy się szybko z puścizną okresu merkantylistycznego, w którym ochrona wytwórczych sił narodu była osią polityki handlowej, wysunęła egoistyczny interes wielkich właścicieli ziemskich na plan pierwszy. Gospodarka angielska stanęła pod znakiem — praw zbożowych. Premie wywozowe podtrzymywały w latach urodzaju wysoką cenę zboża, uniemożliwiały prawie dowóz i kosztem ogółu ludności zapewniały szlachcie ogromne dochody. Reforma z 1828 r., która wprowadzała w latach drożyzny zniżkę cła, przyniosła tak drobną ulgę, że i nadal w Anglii nieurodzaj podnosił ceny zboża o 30—40% wyżej, niż na kontynencie.

Prócz ceł zbożowych, dyktowanych polityką warstwy rządzącej, ogromny dług państwowy — pozostałość z wojen napoleońskich — prowadził do wysokich ceł skarbowych. Prawie wszystkie materyały surowe, wełna, jedwab, skóry obłożone były wysokiemi cłami, które podnosiły koszta produkcyi i zarówno, jak wysokie ceny żywności, podwyższające to *minimum*, poniżej którego czyha już śmierć głodowa, a z nim i płacę roboczą, utrudniały podbicie świata taniością dostarczanych wyrobów. Zniesienie ceł, krępujących wytwórczość, było dla kół przemysłowo-handlowych Anglii silnie odczuwaną potrzebą gospodarczą, której ideologicznych osłonek dostarczyła — nędza mas.

Przemysł walczył o wolność dla siebie, domagając się taniego chleba, położenia kresu lichwie zbożowej, najuciążliwszej dla najuboższych. Występował w w imieniu głodzonej ludzkości, z patetycznym frazesem, w którego prawdę wierzył święcie. „Manchester“ — wyrzekł Cobden w jednej z mów swoich — „po przez wszystkie wieki pozostanie wplecionym w dzieje wolnego handlu. Czem Jeruzalem dla religii Chrystusowej, Mekka dla mahometanina, tem stanie się Manchester dla historyka gospodarki: miejscem poczęcia i punktem środkowym najważniejszego prądu moralnego czasów nowożytnych, który w swych skutkach okaże się zapewne donioślejszym od wszystkich walk, znaczących pochód cywilizacyi.“

Z takiem podniosłem przekonaniem o ważności swej sprawy wstąpił Cobden, fabrykant manchesterski, w szeregi walczących przemysłowców i odrazu wybił się na pierwsze miejsce. Manchester, który on uczynił centrum wolno handlowej agitacyi, rzeczywiście zapisał się w dziejach kultury, jako równoznacznik haseł wolnościowych i niewoli ekonomicznej, kosmopolityzmu i krótkowzroczności.

Apelując do ofiarności słuchaczy, zaraz na pierwszem zgromadzeniu nakłonił ich Cobden do złożenia kilkudziesięciu tysięcy szylingów na cele agitacyi, którą sam wspaniale zorganizował. We wszystkich większych miastach on sam, jego uczeń i stały towarzysz Brigh, inni przekonaniowi lub też tylko płatni zwolennicy wolnego handlu rzucali teraz w publicznych przemówieniach klątwy na cła, niedające się biednym najeść do syta, stawiające sztuczne granice, między narodami, dojrzałymi już do zlania się w uścisku braterskim. Byle tylko odważyć się na krok pierwszy — a przykład, oswobodzonej z więzów celnych Anglii, porwie za sobą całą Europę. Korzyści niezawodne, które da wolność gospodarcza, zamożność mająca się rozlać szeroką strugą po całym kraju, jak tylko w nim zapanuje taniość kupna i taniość wytwarzania, przekonają wszystkich o wadliwości dotychczasowej polityki małodusznej i zawistnej. Zniknie straż celna z pogranicz państwowych, nastąpi międzynarodowa wymiana produktów, oparta na warunkach przyrodzonych — Anglia stanie się rzecznikiem postępu i szczęścia dla wszystkich ludów i wieków. W niedomówionej zaś części programu leżało: podbicie rynków przewagą wyższej techniki, silniejszego użyźnienia kapitałem i narzucenie światu roli poddanego, który w pocie czoła wydobywa z ziemi daniny dla pana.

W r. 1839 zwołał Cobden do Manchesteru przedstawicieli przemysłu angielskiego dla wspólnej narady — i tak powstała znana anti-corn-law league (liga przeciw prawom zbożowym). Celem, do którego Cobden zdążał, była zupełna wolność handlu, ale hasłem bezpośredniem — zniesienie praw zbożowych! „Chleb tani“ przystrajał obronę interesów przemysłowych w humanitarne osłonki i pozwalał zwracać się do warstw pracujących nietylko w imię harmonii interesów pracy z kapitałem, ale z zaofiarowaniem bezpośrednich korzyści, które czynią poparcie dobrze zrozumianym obowiązkiem drugiego.

Ale mimo usilnych starań nie udało się Lidze nakłonić mas robotniczych do silnego poparcia przez donośne objawienie pragnień agitacyi przeciwcelnej. Chartyzm rozniecił namiętności polityczne, ale skierował je przedewszystkiem ku żądaniu powszechnego prawa wyborczego, które miało dać możność wprowadzenia radykalnych zmian w ustroju społecznym. Stanienie środków żywności, wywalczone przez przemysłowców, a potem zniweczone w swych skutkach rychłem obniżeniem płac, nie pociągało wcale mas, poruszonych do głębi widokiem dalekich celów, którymi im chartyzm błysnął.

Ale za to pozyskała Liga licznych zwolenników z pośród uboższych dzierżawców, którym przez usilną agitacyę wykazano w końcu, że wysokie ceny zboża podwyższają tylko rentę gruntową a nie ich dochód i nazawsze czynią nabycie małego nawet kawałka ziemi niedoścignionem dla nich marzeniem. W Izbie niższej, gdzie Villiers z wytrwałością Katona rok rocznie powtarzał wniosek o zniesieniu ceł zbożowych, mniejszość głosująca za nim wzrastała z roku na rok, a każdy przyrost głosów zdawał się dodawać Cobdenowi nowych sił do walki. Częściowe zwycięztwo z r. 1842, dające zniżkę ceł zbożowych, stało się chwilą rozwinięcia agitacyi w niebywałych dotychczas rozmiarach. Ustępstwo, obliczone na uśpienie energii walczących, zostało wyzyskane przez Cobdena, jako zapowiedź możebności rychłego zwycięztwa, którą poruszył kraj w najdalszych zakątkach. Przeszło milion szylingów rocznie miał teraz do swego rozporządzenia! Obliczają też, że np. broszurki i pisma ulotne, wydane w owym czasie przez Ligę, miały 100 milionów stronic druku!

Warunki zewnętrzne sprzyjały nowym hasłom. Handel i przemysł bił żywem tętnem. Wynalazki techniczne, szybko w fabrykach stosowane, podnosiły wydajność pracy, a kolej żelazna, której sieci mnożyły się czarodziejsko, gotowa była roznieść wszędzie wytwory pracy z szybkością, przechodzącą najśmielsze pragnienia lat minionych. I warstwy robotnicze, długo obojętne, dały w końcu swe głosy, bronionej przez Cobdena, sprawie, nietyle z gospodarczych, co z politycznych pobudek. Złamanie przewagi konserwatystów stało się wspólnym celem.

Wzburzenie umysłów, naprężenie wywołane dziesięcioletnią, świadomą celów, umiejętnie przez ludzi sercem i duszą sprawie oddanych, kierowaną agitacyą, doszły do tego stopnia, że torysowskie ministeryum, na którego czele stał Peel, ów zdrajca, jak go nazwał Disraeli, „który jedną partyę oszukał, a drugą z idei okradł,“ postanowiło przyspieszyć nieuniknione rozwiązanie. Przedłożenie rządowe z r. 1846 zapowiedziało koniec ustaw zbożowych, a zgoda znacznej większości uwieńczyła wytrwałą pracę Cobdena ostatecznem powodzeniem.

Reszta ceł ochronnych, które już dla ziemian miały mniejsze znaczenie, upadła szybko, a traktat handlowy z Francyą, w którego zawarciu Cobden osobiście pośredniczył (Cobden treaty), dały mu jeszcze pod koniec życia nadzieję, że żółwim bodaj krokiem cała Europa przejdzie do wolnego handlu.

(D. n.)

Helena Gumplowicz.

NA MARGINESIE.

Oczyszczenia wód bieżących, tak bardzo potrzebnego od czasu, jak spływające do rzek ścieki fabryczne uczyniły wiele z nich niemożliwemi do jakiegokolwiek użytku, proponuje dokonać chemik włoski, Paterno. Jeśli do wody zarażonej chorobotwórczymi mikrobami — mówi on — dodamy maleńką ilość chlorku srebra, dezynfekcya nastąpi niezwłocznie prawie. Dwie tysiączne gramu chlorku mają w zupełności wystarczać do oczyszczenia jednego litra wody. A prostota w zastosowaniu tak jest wielka, że jeśli istotnie środek ten okazałby się skuteczny, możnaby posługiwać się nim wszędzie, gdzie woda jest zakażona. Dość przelać ją przez naczynie zawierające chlorek, ażeby otrzymać zupełnie czystą.

Daniel Vierge. W połowie maja zmarł w Paryżu jeden z wybitniejszych współczesnych rysowników i ilustratorów — Daniel Vierge. Urodzony w 1851 r. w Madrycie, przybył w r. 1870 do Paryża i dzięki oryginalnemu talentowi z czasem zajął tu poczesne w świecie artystycznym stanowisko. Liczne jego rysunki i ilustracye, przy mistrzowskiej technice, cechuje wielka wytworność, odrębny zupełnie styl i szczególny dar odtwarzania pełnych ruchu i kolorytu scen życia południowego, a zwłaszcza Hiszpanii. Do najbardziej udatnych prac zgasłego artysty należą piękne ilustracye do zbytkownych wydań powieści historycznych „Don Pablo de Segovie" i „Le Cabaret des Trois Vertus." *P. E.*

Powstanie księżyca. Pickering, profesor uniwersytetu w Harvard, wygłosił niedawno nową teoryę powstania księżyca, który według niego ma być kawałkiem oderwanym od ziemi. Oderwanie to jednak nastąpiło wtedy, kiedy kula ziemska była jeszcze w stanie napół lub całkiem płynnym; wytworzyło ono wgłębienia, które dziś zapełniają wody oceanu Spokojnego i spowodowało rozdział między Ameryką i Azyą, stanowiącemi pierwotnie jedną całość. Księżyc w początkach nie miał tego kształtu, co dziś; wydłużył się w elipsę pod wpływem przyciągania ziemi, w przestrzeń zaś poleciał, jak kula wyrzucona z armaty. Prof. Pickering zapowiada nam niejedną jeszcze w przyszłości niespodziankę z powodu księżyca, który ma nietylko zaniechać wszelkich nierówności w swych ruchach, ale całkiem zmian się pozbyć i stanąć na niebie nieruchomo. Wiemy, że nauka nie ustaliła jeszcze swych poglądów na tego towarzysza ziemi. Teorya prof. Pickeringa zapewne nie rozwiąże też zagadnienia, lecz nie możemy jej odmówić zapachu nowości.

Z PRASY.

— O zabójstwie generał-adjutanta Bobrikowa *Now. Wremia* podaje następujące szczegóły:

„Zwykle adjutant doprowadzał generał-gubernatora do schodów, gdyż policya nie mogła tam wchodzić. Senat oznajmił, że bierze na siebie ochronę generała. Tym sposobem Bobrikow wszedł sam. Na pierwszem piętrze w obie strony idą kurytarze. Bobrikow poszedł na lewo. Naraz rozległy się wystrzały. Pierwsza kula, jak się zdaje, trafiła w order św. Włodzimierza na piersiach i tylko kontuzyowała; druga, śmiertelna, w brzuch, uderzyła w guzik palta, zmieniła kierunek i poszła w dół, robiąc wielkie poranienia; trzecia na szyi poszarpała mięśnie.

Gen. Bobrikow nie stracił przytomności umysłu i poszedł dalej, trzymając się za szyję. Na odgłos wystrzałów nadbiegł szwajcar, który widział, jak biegł jakiś człowiek. Szwajcar najpierw doprowadził Bobrikowa do drzwi departamentu. Generał nic mu nie powiedział i wszedł. W tej chwili znowu rozległy się wystrzały, które się zlały w jeden. Stróż spostrzegł przy wejściu na schodach leżącego przestępcę z rękoma przykurczonemi do ramion. Już nie żył. Tymczasem senatorowie, zaalarmowani wystrzałami, pospieszyli na spotkanie Bobrikowa.

— Wasza ekscelencya raniony? Gdzie? — zapytał Linder, wiceprezes departamentu gospodarczego. — Nie! — odparł generał. — Ależ krew na szyi! — W takim razie jestem raniony!

Następnie Bobrikowa, po opatrunku doraźnym, zaniesiono do szpitala i tam dokonano operacyi.

Zabójca, Eugeniusz Waldemar Szauman, liczył zaledwie 29 lat. Był to syn senatora, uwolnionego ze służby przy wprowadzeniu języka rosyjskiego. Skończył on uniwersytet Aleksandrowski w 1899 r. W roku następnym wstąpił do senatu jako ekstra kopista. W listopadzie roku zeszłego wstąpił do głównego zarządu szkolnego. Gorący szwedoman, był ostrożny, znajomych miał mało, był wybornym strzelcem, a nawet nauczycielem strzelania.

Często przychodził do senatu. W dniu przestępstwa przyszedł tylnem wejściem, ale nie zwrócił na siebie uwagi, jako znajomy niektórych urzędników. Z okien departamentu skarbu, gdzie przedtem służył, mógł śledzić przybycie Bobrikowa. Strzelał z rewolweru Browninga, ośmiostrzałowego. Pozostały trzy kule. Do siebie strzelił dwa razy w serce.

Przyczyna zabójstwa — polityczna. Wiadomo, że d. 10 czerwca miała się rozstrzygnąć sprawa zwołania sejmu. Sądząc z przebiegu poboru rekrutów i nastroju, postanowienie powinno było być pomyślne. W tym duchu był oczekiwany referat Bobrikowa. Taki stan rzeczy nie był według myśli szwedomanów, pragnących wywołać zamieszki. Zresztą zabójca zostawił list, w którym zawiadamia, że wszystko zrobił z własnego przekonania i nie miał żadnych wspólników."

— W *Kur. Warsz.* z dnia 21 czerwca dr. Zyg. Kramsztyk wydrukował artykuł „O plantacyach warszawskich," w którym cieplemi słowy przemawia za otwarciem parków i ogrodów d l a w s z y s t k i c h:

„Plantacye zamknięte, niedostępne— to dla głodnego tantala owoce i napoje, które mu od spragnionych ust uciekają, to dla podróżnika po piaszczystej pustyni zielona oaza, w której z rozpaczą złudny miraż spostrzega...

Po godzinnym pobycie w parku człowiek jest zdrowszy, swobodniejszy, mędrszy, lepszy i szczęśliwszy; do swoich zajęć chętnie powraca i spełnia je lepiej.

Park dla mieszkańców miasta jest sprawą pierwszorzędnej wagi. Oczywiście, gdzie każdy łokieć ziemi płaci się dziesiątkami rubli, tam każdy park przedstawia wartość milionową; żadne jednak miliony za duże na ten cel miastu być nie powinny...

Przedewszystkiem plantacye są dla ludzi; są po to, żeby ludzie wśród nich przebywali. Więc zamknięte plantacye—to marnotrawstwo. Wszystkie publiczne skwery i ogrody powinny być wciąż dla publiczności otwarte. Ponieważ ludzie przeważnie przez cały dzień są zajęci i dopiero wieczorem, wolni od pracy, mają czas używać odpoczynku i przechadzki, więc ogrody powinny być otwarte do późnego wieczora, przynajmniej do 11 godziny; zamykać je wcześniej, o godz. 8 czy 9-ej, to znaczy ująć połowę ich wartości.

W parkach powinni mieć ludzie jak najwięcej swobody, każdy niech sobie takie drogi i dróżki, takie okolice parku obiera, jakie najbardziej mu się podobają, jakie najbardziej przypadają do jego usposobienia, a wielka pod tym względem istnieje rozmaitość.

Więc potrzeba ścieżek jak najwięcej wytworzyć i ich nie zamykać. Do przerywania ścieżek, do ochrony trawników czy dywanów kwietnych nie należy nigdy używać drutu kolczastego. Dobra to może ochrona od dzikich zwierząt, ale niewłaściwa tam, gdzie ludzie spędzać mają swoje chwile najmilsze, gdzie swobodnie biegać mają dzieci.

Kogo w Warszawie wpuszczają do ogrodu, a kogo nie wpuszczają? — niełatwo rozstrzygnąć. Zdaje się, że największym grzechem jest dziecięctwo: dzieci samotnych do ogrodów nie puszczają. Nie stosuje się to do jakichś drobiazgów kilkoletnich, lecz dziesięcioletnie i nawet starsze nieraz dzieci bywają odpędzane. Wcale nierzadko widzieć można obrazek smutny a godny zastanowienia. Dziewczyna, może dwunastoletnia, trzyma objęma rękoma dwoje młodszego rodzeństwa. Zbliża się do bramy ogrodowej powoli, z pragnieniem i trwogą, ogląda swoje i dzieci ubranie: czy się uda wsunąć ukradkiem, czy może jawnie je wpuszczą do ogrodu? — Gdzie tam! Dostrzeżono, odepchnięto. Dzieci zlękły się, szeroko otworzyły oczy; niewiele brakuje, aby się w głos rozpłakały. Stoją przed bramą i patrzą.

Dlaczego ich nie wpuszczono? Czy dlatego, że dzieciom opieka potrzebna, że bez opieki krzywda stać im się może? Ależ w ogrodzie są właśnie najbezpieczniejsze: tam nikt się nie spieszy, nie roztrąca dzieci, tam niema dorożek, tramwajów, więc tam dzieciom najlepiej i najspokojniej. Co myśli ta dziewczynka i te dzieci, stojące przed tak gorąco upragnionym ogrodem, przed zamkniętemi raju wrotami, przez które przechodzą jednak ich rówieśnicy z bonami, w pięknem ubraniu? Zazdrości tym szczęśliwym dzieciom, postanawia sobie, skoro tylko dorośnie, dojść za jakąbądź cenę do pięknego ubrania, aby jej nie odpędzono od bramy. I dojdzie. W każdym razie myśli dzieci są niezdrowe i wielu im krzywda się dzieje. A tych maluczkich przedewszystkiem przygarnąć potrzeba. Niewolno nigdy dzieci od kwiatów odpędzać, niewolno na ich twarzyczki sprowadzać smutku, a w ich sercach zaszczepiać uczuć najboleśniejszych i najgorszych instynktów. Wszak ogród jest właśnie dla nich, dla nich przedewszystkiem. Te dzieci pięknie ubrane z bonami mniej potrzebują ogrodu, nawet niechętnie i z pogardą tam wchodzą. One były nad morzem i w górach, były „za granicą" i znowu za parę tygodni wyjadą za granicę; więc cóż im Ogród Saski?

Drugim grzechem głównym jest niedość wykwintne ubranie. Ach, nie łachmany żebracze!.. choć może i żebrakom wejścia do ogrodu nie należałoby bronić. Ale wejść niewolno czysto i porządnie ubranym ludziom chyba dlatego, że rękawiczek nie noszą, a na głowie czapkę mają, nie kapelusz; służące czysto ubrane z małym koszyczkiem w ręce również od bram ogrodu odpędzają. Proszą o tę wielką łaskę — wszakże ogród jest zarazem ważną arteryą komunikacyjną, ale nie dla nich — niewolno! I oni płacą podatki, i oni ponoszą koszta utrzymania tego ogrodu, to ich własność także; więc im się krzywda dzieje.

Ogród im jest ważniejszy, niż komu innemu; to ich Tatry, ich Szwajcarya, ich jedyna rozrywka szlachetniejsza, jedyne miejsce, gdzie z naturą i z pięknem zetknąć się mogą. Wszak ci, którzy pracują i którzy są obciążeni, najbardziej potrzebują ochłodzenia. Pobyt w pięknym parku może na ich uczucia i na ich charakter skuteczniej oddziałać, niż dwugodzinny wykład o wstrzemięźliwości. Odepchnięty z pogardą od ogrodu, dokąd pójdzie? Jeżeli potem w dusznej izbie pić będzie z towarzyszami, to nie cała odpowiedzialność za tę winę spaść powinna na niego.

Oczywiście te wszystkie przeszkody, stawiane publiczności, mają dobro parków na celu. Istnieje widocznie przekonanie, że parki powinny być zawsze świeże i czyste, niepokalane, że publiczność niszczy je; czynią to przedewszystkiem dzieci bez bon i ludzie bez rękawiczek. Ale to przekonanie o wandalizmie ludności jest niesłuszne, przesadzone. Wszak na całym świecie plantacye są dla wszystkich otwarte a trwają, choć wymagają zapewne pilnej opieki i częstszych poprawek. Nie powołuję się na ludy, o których sądzimy, że są bardziej cywilizowane, własność publiczną więcej szanują; toż w Krakowie najwspanialsze plantacye miejskie, ogromną przestrzeń miasta otaczające, są zupełnie otwarte, wszelkiego ogrodzenia pozbawione, więc dla wszystkich dostępne, a wyglądają chyba niegorzej od ogrodów warszawskich, i całej ludności krakowskiej, jej dzieciom i ubogim służą wciąż i bezwzględnie."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Gazety warszawskie głoszą, że aby dostarczyć zarobku ludności skutkiem zastoju pozbawionej środków do życia, władza wyższa zezwoliła na wyznaczenie z funduszów miejskich 300,000 rb. na różne roboty miejskie, głównie zaś regulacyę Wisły.

— *Górnoślązak* cofnął swój zarzut, że duchowni górnośląscy, którzy w ciągu ostatnich lat 15 otrzymali

probostwa, zobowiązali się wobec rządu pruskiego do germanizowania ludności polskiej. Wobec tego oświadczenia, umorzono wszystkie procesy, wytoczone *Górnoślązakowi* o obrazę przez księży niemieckich.

— W Katowicach utworzył się komitet wielkich przemysłowców niemieckich w celu zwalczania ruchu wszechpolskiego.

— W W. Ks. Poznańskiem istnieją następujące instytucye polskie: Towarzystwo pomocy naukowej im. Marcinkowskiego, takież Tow. dziewcząt i Tow. oświaty ludowej, 9 spółek zarobkowo-oszczędnościowych, 10 banków parcelacyjnych i kolonizacyjnych i 3 spółki budowlane. Wszystkie miały w roku ubiegłym 465 mil. marek obrotu.

Szkoły i wychowanie. Od przyszłego roku szkolnego — czytamy w *Peter. Wied.*—uczniowie szkół miejskich w Petersburgu mają być uwolnieni od opłaty i przyjmowani w nieograniczonej liczbie.

— Na dzień 19 lipca r. b. oznaczono ostateczny termin wnoszenia podań o dopuszczenie do egzaminu z kursu którejkolwiek klasy gimnazyów i progimnazyów męzkich i żeńskich, oraz szkoły realnej

— Zamiast projektowanego, wyższego zakładu technicznego dla potrzeb drobnego przemysłu, postanowiono utworzyć specyalne katedry przy instytutach technologicznych i politechnicznych.

— Towarzystwo studentów Polaków w Monachium zawiadamia, że chętnie udziela pomocy przybywającym tam rodakom.

— W Moskwie otworzony ma być instytut lekarski dla kobiet.

— Petersburskie Tow. zawodowego kształcenia kobiet urządza w r. b. 6-tygodniowe kursa wakacyjne gospodarstwa domowego i sztuki kucharskiej

— Minister oświaty wydał rozporządzenie, aby w kl. V gimnazyów język grecki był wykładany nawet wówczas, gdy na ten przedmiot zapisze się jeden [illegible]

Komitet naukowy ministeryum oświaty zredagował ostatecznie projekt ustawy gimnazyów, progimnazyów i szkół przygotowawczych. Ustawa przewiduje dwa gimnazya: jedno, z nauką dwóch języków starożytnych (z łacińskimi i naukami przyrodniczemi, ma nosić nazwę całkowitego gimnazyum ośmioklasowego; drugie, niecałkowite, będzie posiadało cztery lub sześć klas wyższych; progimnazyum — cztery klasy niższe. Szkoły przygotowawcze pod względem kursu mają odpowiadać szkołom początkowym i dwom pierwszym klasom gimnazyów. Do gimnazyów wprowadzona będzie propedeutyka filozofii, oraz kilka przedmiotów nieobowiązujących. W szkołach mają być urządzane konferencye wychowawców. Będzie można na zasadzie pozwolenia ministra oświaty zakładać gimnazya prywatne, których administracya zajmować się mają założyciele. Dla szkół realnych i sześcioklasowych będzie opracowana odpowiednia ustawa.

Wiadomości naukowe. W lwowskiej stacyi doświadczalnej, botaniczno rolniczej wakuje posada asystenta, z pensyą 1,678 koron i 10% dochodu.

— Na rektora uniwersytetu lwowskiego wybrano profesora wydziału filozoficznego, dr. Kalinę.

Zdrowie publiczne. W *Gazecie Polskiej* czytamy: Komisya w sprawie ulepszenia i poprawy obecnych warunków opieki nad umysłowo chorymi w Królestwie Polskiem przedstawiła władzy wyższej memoryał, w którym stwierdza, że obecny system opieki nad umysłowo chorymi w kraju znajduje się w stanie niezadawalającym i wymaga koniecznie reformy. Wobec przepełnienia zakładów dla umysłowo chorych i wynikających stąd trudności pomieszczenia w nich tych, którzy wymagają natychmiastowej kuracyi, staje się koniecznem urządzenie przy szpitalach ogólnych, w różnych miejscowościach kraju, niewielkich oddziałów specyalnych. W celu usunięcia z istniejących szpitali chorych spokojnych, nieuleczalnych, uznano za niezbędne utworzenie kilku kolonij psychiatrycznych, na 700—1,000 osób; kolonie powyższe mogłyby być urządzone w gmachach i zabudowaniach poklasztornych w Gidlach, Pilicy, Wolbromiu itd. Co zaś do zamierzonej budowy przytułku policyjnego dla tego rodzaju nieszczęśliwych, zatrzymywanych przez policyę, większość członków uznaje za pożądane, aby przytułek ten był utworzony przy szpitalu św. Jana Bożego, jako oddział obserwacyjny, fundusze zaś, na ten cel przeznaczone, powinny być użyte na zasiłek dla szpitala św. Jana Bożego i na zapomogę dla Towarzystwa opieki nad umysłowo chorymi, wzamian za co Towarzystwo obowiązane będzie utrzymywać daną liczbę nieuleczalnych. Koszt urządzenia kolonii psychiatrycznej na 1,000 osób, według obrachunku komisyi, wynosić ma 650 do 700 tysięcy rubli, utrzymanie zaś — 180 tys. rubli rocznie; gdyby udało się zużytkować w tym celu klasztory, to utworzenie kolonii wyniosłoby sumę znacznie mniejszą. Niezbędne na kupno i urządzenie kolonij środki, o ileby skarb odmówił ich wyznaczenia, mogą być zaczerpnięte z tak zwanego funduszu użyteczności publicznej.

Literatura i prasa. P. Ignacy Chodorowicz otrzymał pozwolenie na wydawanie w Warszawie tygodnika w języku polskim p. t. *Dobra matka*.

— Na zakłady fotograficzne mają być rozciągnięte przepisy dotyczące drukarń i litografij.

Ze sztuki. Na tegorocznej wystawie Societe Nationale des Beaux-Arts w Paryżu — dawniejszy Salon de Mars — krytyka wyróżniła portrety naszej malarki, p. Olgi Boznańskiej, odznaczające się psychologicznem ujęciem i finezyą kolorystyczną.

Sprawy ekonomiczne. Według danych kolejowych ruch tranzytowy w kierunku granicy i odwrotnie zmniejszył się znacznie. Agenci firm zagranicznych otrzymali polecenie, aby nieodebrane [illegible] w Rosyi maszyny starali się sprzedać [illegible] lub odesłali je z powrotem, uzyskawszy zwrot cła opłaconego.

— Ministeryum zaleciło tutejszemu zarządowi rolniczemu gorliwe zajęcie się życiem rolniczem, popieranie wystaw i wystawców drobniejszych.

— Projektowane jest urządzenie na kolejach ruchomego muzeum wyrobów drobnego przemysłu włościańskiego.

— We Lwowie otworzono wystawę pod nazwą „Jarmark wyrobów krajowych."

Koleje i komunikacye. Postanowiono przeprowadzenie telefonu między Warszawą i Petersburgiem.

— Z Petersburga donoszą, że komisya specyalna przyjęła w zasadzie podwyższenie taryfy kolejowej, o ile ta podwyżka nie wywoła poważniejszego wstrząśnienia w sferze handlu i przemysłu. Podwyżka ma ma być zastosowaną przedewszystkiem do towarów najdroższych.

Katastrofy. Podczas wycieczki, urządzonej przez zarząd szkoły niemiecko-ewangelickiej św. Marka w Nowym-Yorku, wynikł pożar na parowcu, na którym znajdowało się około 1,600 dzieci i kobiet. Zły stan statku, niedołężna obsługa i brak szybkiego, energicznego działania spowodowały śmierć w płomieniach lub w nurtach z górą 1,000 osób. Kapitan statku, który uratował się przez wskoczenie do wody, areszto-[illegible]

Pożary. W Radzyniu spaliło się 113 domów mieszkalnych wraz z zabudowaniami gospodarczemi. Straty obliczają na 100,000 rb. Taka sama klęska nawiedziła Wiłkomierz, miasto powiatowe w gub. Kowieńskiej, w którem pożar zniszczył 700 domów.

— W Rymanowie, w Galicyi, zgorzało 200 domów.

Zmarli. Dr. Władysław Niemiłowicz, profesor chemii fizyologicznej w uniwersytecie lwowskim.

— Dr. Jowan Smaj-Jowanowicz, popularny poeta serbski, w Kamienicy pod Belgradem.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Z. T. w Wilnie. Wiersza nie umieścimy.

Panu Kossowskiemu w Sławiańsku. Za zmianę adresu należy nam się 20 kop.

OFIARY.

Na powodzian. Pp. Sokołowcy z Sieprawki wraz z służbą 12 rb.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 10 Іюня 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.